

# TYGODNIK LITERACKI

Nr 10 ■ Rok I ■ 25 LISTOPADA 1990

ISSN 0867-1257 ■ Nr indeksu 379689 ■ Cena 2500 zł

w numerze: **HERLING-GRUDZIŃSKI □ TULIK □ WĘGIELEK**  
oraz: **BARANOWSKA, BIEŃCZYK, KALICKI, MACHEJ, RUTKOWSKI, SIEDLECKA, STALA**



WITKACY, Portret kobiety, 1920 pastel

## Ukochana żona maharadży

Mimo przeszło dziewięćdziesięciu lat ślepoty, białej laski, którą energicznie toruje sobie drogę na jeźdźniach, Irena Krzywicka (rocznik 1899) jest w dobrej formie. Miała stosunkowo niedawno wieczer autorski u Pallotynów, skończyła – choć już nie sama – opracowanie swoich wspomnień. Raz w tygodniu przyjeżdża do Paryża z Bures-sur-Yvette, gdzie mieszka, na spotkania z przyjaciółmi. Umówiła się ze mną „na mieście” – w Café

Rostand obok Ogrodu Luksemburskiego.

Z przyjemnością wspomina Witkacego, przypomni sobie tym samym najszczęśliwsze lata, czyli gdzieś od roku 1928 do 1939. Była młoda, ładna, miała dwóch synów, męża, przyjaciela, pisała, wydawała, znała najświetniejszych ludzi swojej epoki – skamandrytów, Boya, Słomimskiego, Hemara i właśnie Witkacego.

Zaczynała dopiero pisać, gdy – w latach dwudziestych – przyjechała do Zakopanego. Odwiedził ją w jej pensjonacie. Oczywiście próbował romansować, zaprosił na bal i nie ukrywał, że będzie tej

nocy „ukochaną żoną maharadży”. Zupełnie jednak nie miała na to ochoty, tak że wyczekała na odpowiedni moment i – uciekła. I nawet dziś wcale tego nie żałuje – szalenie się jej wprawdzie podobał, była jednak zajęta akurat kimś innym, lubiła też czuć się wybrana, jedyna, a nie któraś z haremu.

Wściekły, że ktoś go może nie chce, obraził się na nią śmiertelnie, zobaczyli się więc dopiero za kilka lat w Warszawie, na Smolnej 11 u Boyów. U nich właśnie namalował jej w ciągu krótkiego seansu cztery portrety. Dwa – podobne i ładne, choć ten z profilu trochę kiczowaty

na dwóch następnych, szczególnie ostatnim – doświadczona życiem, tragiczna. Po '39 zaczął się bowiem jej okres czarny.

Bo najpierw wojna, podczas której musiała się ukrywać, potem śmierć męża w Katyniu, Boya we Lwowie – obydwa strzałami w tył głowy. Śmierć teścia, Ludwika Krzywickiego, którego tak szanowała i cios najstraszliwszy, śmierć syna Piotrusia – młodego, obiecującego. Została sama z synem Andrzejem i dwoma starszankami na utrzymaniu – matką i gosposią.

Po wojnie myślała, że to już może koniec, ale los o niej nie zapomniał – An-

Joanna Siedlecka

## Perskie księżniczki

– u dołu wulkany, we włosach płomienie. Dwa natomiast – zdeformowane, tragiczne. właściwie potworne; szczególnie ostatni. Uważała wówczas, że mógłby być portretem czyimkolwiek, przedstawiał bowiem jakąś pełną tragizmu kobietę, do której zupełnie nie była podobna.

Dziś już wie, że to też jej portret, ale po latach, po ciosach, których los jej nie szczydził, co on jakby przewidział. Miał przecież coś więcej niż fenomenalną psychologiczną intuicję. Mówiono nawet, że wie, który z jego klientów wkrótce umrze – widział wtedy podobno nad nim specjalną poświatę. Nad głowami swoich modeli – także i jej – rysował bowiem często tajemnicze smugi i cienie. Nie prostował oczywiście tych opinii – pasowały mu do jego „demonizmu”.

Dziś uważa już, że nie była to wyłącznie poza. Zapłacił przecież za nią życiem, czas dowiódł też, że przewidział los swej epoki. A ciosy, które zobaczył już wtedy na jej twarzy, podzieliły jej życie na dwie różne połowy. Do 1939 była bowiem – tak jak na dwóch jego portretach – piękna i szczęśliwa. Potem natomiast, niczym

drzej zachorował na heinemedynę, walczyła o jego życie. Wygrała; urodziła go po raz drugi, jak mówili lekarze, nie był jednak w pełni sprawny. W 1963 wyjechała więc – głównie dla jego rehabilitacji – do Francji, gdzie mieszka do dziś, i dobrze zrobiła. Został światowej sławy fizykiem, a co ważniejsze – mimo pewnych pozostałości choroby – podróżuje, prowadzi samochód, drugi raz się ożenił, ma synka.

Przeżyła jeszcze śmierć pierwszej ukochanej synowej, śmierć większości przyjaciół. Wszyscy są teraz od niej młodszy. Musiała nauczyć się żyć ze swoją ślepotą, choć to tak ciężkie, że czasem już naprawdę jej na życiu nie zależy. I co chyba najtrudniejsze – nie może czytać ani pisać, jest członkiem trzech paryskich bibliotek dla niewidomych, słucha książek nagranych na taśmy.

Gdy postanowiła zostać we Francji na stałe, kuzyn Jan Garewicz sprzedał Muzeum w Słupsku jej cztery „Witkace”. Miała tylko jedno życzenie – żeby wisiały

dokończenie na s. 6

# twarz tygodnia

była bez okularów. Zakłada je tylko do czytania a o lekturę dzisiaj niełatwo. W „Polityce” Mariusz Janicki wieści ciężką jesień księgarzom. Otóż księgarnie się prywatyzują, ale niestety nie jako księgarnie, tylko jako butiki, kantory wymiany, lub – w najlepszym wypadku – masarnie. Publicysta pisze: „Właściwie wszystkie księgarnie chcieli przejąć ich pracownicy, barierą jednak stała się cena – zupełnie bez związku z płacami w tej grupie zawodowej. Znajdowali się, owszem, różni „sponsory”, mali mecenasicy chcący wspomóc kulturę ojczyzną, ale nie za darmo – skończyłoby się to zapewne na sprzedaż mieszanej: obok książek, zagraniczne mydła, gumy do żucia i papierosy. Księgarze – należy do docenić – w zakamitej większości zrezygnowali z tej kuszącej propozycji”.

Księgarni więc nie będzie. Nurtuje nas jednak pytanie, czy będą książki. Wydaje się, że nie. Od 1 stycznia wszystkie wydawnictwa obłożone zostaną czterdziestoprocentowym podatkiem dochodowym. Prywatne już go odprowadzają, państwowe dotychczas płaciły dwadzieścia, więc im trochę podskoczy. Od połowy przyszłego roku wejdzie jeszcze podatek od wartości dodanej (tzw VAT) w wysokości 5%. Wraca też tak zwany popiwek naliczany nie tylko od płac, ale i honorariów autorskich. Jak tak dalej pójdzie, rynek wydawniczy zejdzie do głębokiego podziemia. Gospodarczego tym razem. Znikną księgarnie, znikną nawet turystyczne stoliki i łózka polowe dzikiego handlu. Książki będą sprzedawane tak, jak kiedyś oferowano zdjęcia pornograficzne. Fioletowy, odmrożony po zimnych zakąskach menel będzie rozchyłał piasecz, gdzie zamiast podpinkki umieszczone będą dzieła wybrane Adama Mickiewicza. Już słyszę jego przesiąknięty nikotyną i źle strawionym alkoholem szept „na specjalne życzenie mogę Mistrzowi jeszcze Konopnickiej o krasnoludkach i sierotce Marysi sprokurować”...

Książka pod wilczymi prawami kapitalizmu nie ma się dobrze. Złe też jest z krytyką literacką. Do tego stopnia złe, że w „Gazecie Wyborczej” anons ogłaszający genialność poety Antoniego Pawlaka ukazał się w kolumnie płatnych ogłoszeń. Nie ma leko.

Zabraknie więc książki pod choinką. A przecież w tę sobotę rozpoczął się sezon świąteczny. W zalanej deszczem stolicy ustawiono na placu Zamkowym szesnastometrową choinkę. Stanowi ona teraz ostrą konkurencję dla kolumny Zygmunta. Uroczystość odbyła się w obecności artystów i kleru, z których ten ostatni święcił, senator Łapicki uświetniał, dwaj archaniołowie „w gwiazdowstępowali” (na dźwigach), a chór „Lutnia” akompaniował. Jakby tego wszystkiego było mało, to pojawiły się jeszcze fajerwerki. Było hucznie.

Miasto jednak nie wygląda przedświątecznie, tylko przedwyborczo. Ze ścian, płotów, budek telefonicznych spoglądają na nas facjaty. A to Cimoszewicz intymnie zwierza się że ma kłopoty, a to Bartoszcze sfotografowany w ciasnych butach, które chociaż zdjęciem nie objęte, malują się na jego twarzy, a to Wałęsa a la Piłsudski. Ten ostatni plakat nie spodobał się publiczności „Tygodnika Solidarność”. Andrzejowi Urbańskiemu, czemu dał wyraz w swoim felietonie. Musiał aż na dzienniki Marii Dąbrowskiej się powołać, aby uzasadnić swoją estetyczną decyzję. Bo tak w ogóle, to wszyscy wiedzą, że Wałęsa mu się podoba.

FIZJONOMISTA

Tegoroczne nagrody miesięcznika *Literatura* otrzymali: Krzysztof Karasek za tom *Lekcja biologii i inne wiersze* (kontrkandydaci: Stanisław Beres *Już tylko sen* i Adam Zagajewski *Płótno*); w dziedzinie eseistyki – Ryszard Kapaściński za *Lapidarium* (kontrkandydaci: Stanisław Barańczak *Tablica z Macondo*, Maria Janion *Wobec zła* i Jan Kott *Przyczynek do biografii*). Zrezygnowano w tym roku z nagród dla prozaików i debiutantów. Nikt nie wyjaśnił dlaczego. Jury wyraziło natomiast najwyższy podziw dla tegorocznych dokonań Zbigniewa Herberta (tom wierszy *Elegia na odejście*) i Czesława Miłosza (dziennik *Rok myśliwego*).

Oddział warszawski Stowarzyszenia Pisarzy Polskich 15 XI zorganizował w Domu Literatury (Krakowskie Przedmieście 87/89) wieczór przy świecach poświęcony pamięci poetów: Barbary Sadowskiej, Józefa Gieła, Stanisława Grochowiaka, Grzegorza Przemyska, Ryszarda Miłczewskiego-Bruno, Edwarda Stachury i Kazimierza Ratonia. Słowo wstępne wygłosił Zbigniew Bienkowski. 14 i 15 XI odbyło się X Sympozjum Polonijne *Udział polskiej literatury emigracyjnej w kulturze europejskiej*. Wygłoszone zostały referaty: *Życie kulturalne Polonii ze specjalnym uwzględnieniem piśmiennictwa w języku polskim* – Marek Skwarcicki (Kraków), *Europa a male ojczyzny* – dr Ryszard Przybylski (Poznań), *Co pozostało z polskiego mesjanizmu* – dr Jan Prokop (Kraków), *Obcość jako szansa* – prof. dr hab. Janusz Maciejewski (Warszawa), *Zarys dorobku współczesnej literatury emigracyjnej* – doc. dr Krzysztof Dybczak (Warszawa-Lublin). 16 XI w Zamku Ujazdowskim (Centrum Sztuki Współczesnej) odbyło się spotkanie promocyjne z okazji wydania książki Jaromira Jedlińskiego *Joseph Beuys: Teksty, komentarze, wywiady*. W czasie spotkania zorganizowanego przy współpracy z Goethe Institut w Warszawie pokazano filmy poświęcone twórczości Beuysa – jednego z najbardziej wybitnych artystów XX wieku. Ciekawszymi Beuys od tureb Wilsona. 26 XI mija 135 rocznica śmierci Adama Mickiewicza. Muzeum Literatury jego imienia co roku stara się uczcić kolejną rocznicę, w tym roku, 12 XI odbyła się premiera spektaklu *Pan Tadeusz*, którego tworzywem były fragmenty twórczości Mickiewicza. Niespecjalnie wyrafinowane, acz ciekawe. 13 XI w warszawskiej kawia-

# przegląd kulturalny

rni „Czytelnik” Janusz Głowacki spotkał się z dziennikarzami z okazji oficjalnego wydania w Polsce jego powieści *Moc truchleje*. Janusz Głowacki podobno jest niezadowolony z ciągle istniejącej jego legendy playboya i pisarza „Warszawki”, ale wynagradza mu to niezadowolone faktem, że od trzech lat zarabia w Ameryce pieniądze. Do 31 XII w Muzeum Narodowym czynna jest wystawa *Józef, syn Jakuba. Sceny z dzieł biblijnych patriarchów w sztuce nowożytnej*. Ciekawe. Do 16 XII w Muzeum Plakatu w Wilanowie oglądać można prace Shu Kataoki, znakomitego japońskiego grafika. Prostota, elegancja, przejrzystość. Wielka aukcja dzieł sztuki – 18 XI w warszawskim hotelu Marriott i jednocześnie w Belgii i Japonii. Do sprzedaży przeznaczono kilkaset prac, m.in.: Brugela, Chagalla, Dali, Picasso, Renoira, Falata, Starowieyskiego, Szajny. Cena wywoławcza płótna z pracowni Rubensa – 500.000 dolarów, polskie obrazy od 1000 do 3000 dolarów. Do 11 XI trwał w warszawskim kinie „Bajka” przegląd filmów duńskich. Wkrótce rewanż – w Kopenhadze pokazane zostaną polskie filmy, m.in.: *Matka Królów* Janusza Zaorskiego, *Bohater roku* Feliksa Falka, *Kornblumeblau* Leszka Wosiewicz, *Nadźor* Wiesława Saniawskiego i *Tabu* Andrzeja Barańskiego. *Przesłuchanie* Ryszarda Bugajskiego znalazło się wśród siedmiu filmów zgłoszonych do Europejskiej Nagrody Filmowej. Jury ogłosi decyzję 2 XI. Pagart przyznaje Medale Komedy za twórczość Jazdową oraz wybitne osiągnięcia w propagowaniu polskiego jazzu i muzyki rozrywkowej w kraju i za granicą. W tym roku wyróżnienia

otrzymali: Małgorzata Potocka, Jan Borkowski, Stanisław Cejrowski, Jan Byrczek, Jerzy A. Byk, Karol Majewski, Krzysztof Popek i Aleksander Korecki. W dniach 2–31 XI w łódzkim BWA można się wybrać na ekspozycję fotografii amerykańskiej *Architektura na przedmieściach wielkich metropolii amerykańskich*. Bardzo ciekawe. 100 lat niemieckiego rasizmu – wystawa z Kolonii (Niemcy) prezentowana jest od 25 do 31 XI w łódzkim Muzeum Martyrologii i Walki Radoszcz. W dniach 13–16 XI cyklem koncertów *Musica sacra* rozpoczęło działalność Gdanskie Centrum Organowe. 13 XI w Krakowie senat UJ nadał honorowy doktorat Jerzemu Turowiczowi, który – jak głosi sentencja dyplomu – „w czasach trudnych i złych heroicznie bronił godności ludzkiej osoby, wartości chrześcijańskich i narodowych”. Jerzy Turowicz jest laureatem doktoratu honoris causa uniwersytetu w Bostonie i Yale. 15 XI w galerii „Krzysztofory” redaktorzy „Znaku” Tomasz Fijałkowski i Karol Tarnowski zaprezentowali kolejny numer pisma na pierwszym z planowanego cyklu spotkań *Metafizyka-poezja-sztuka*. Wernisażem miniatur Władysława Szyskiego, 19 XI rozpoczęła działalność „Stara galeria”. Dawna pracownia Wyczółkowskiego, Stachowicza i Grotta zaniedbana przez lata jest jednym z najpiękniejszych miejsc w Krakowie. Bestsellery tego tygodnia: John Irving *Świat według Garpa* (Czytelnik), Zbigniew Lew-Starowicz *Zazdrość, sex, zbrodnia* (Wydawnictwo prawnicze), Jack Higgins *Młodzież za konających* (Alfa), Harry Harrison *Planeta śmierci* (Orbita). No, trochę lepiej.

M.M.

14 XI zmarł w wieku 78 lat

ADOLF RUDNICKI

wybitny polski prozaik i eseista  
(*Żywe i martwe morze, Ucieczka z Jasnej Polany, Niebieskie kartki*).

# artykuł polityczny

## Ikonoklazm

Może dlatego tak dobrze to pamiętam, że przeczytałem o tym za granicą; pozwala to rzeczy, którym żyło się na co dzień, ujmować nie w ironiczny, lecz uwypuklający to cudzysłów. W kwietniu, bo było to w kwietniu, skradziono samochód z zachodniemiecką rejestracją, którym wracało koło setki obrazów do Związku Radzieckiego z wystawy w Berlinie. Po powrocie do kraju poznałem parę dalszych szczegółów – prasa sprawą się nie interesowała, ale firma ubezpieczeniowa dała płatne ogłoszenie. Samochód, zaparkowany w ciemnej uliczce w Międzyzlesiu (kto tam parkuje samochody?... pijane dzieci?...), odnalazł się, ale wybebeszony: część obrazów, spalona, leżała na śmietniku. Nie sądzę, by obrazy te notowano w salonach antykarycznych Londynu. Na pewno miały mniejszą wartość niż ukradzione jakiś czas temu i po części odzyskane dzieła Willmana, malarza klasy Georgesa de la Toura, którego nieszczęściem jest, że malował na ziemi teraz kulturalnie niczyjej, na Dolnym Śląsku. Ot, pewnie byli to jacyś leningradzcy „nowi dzicy”, którzy chcieli dowieść, że Europa nie kończy się na Petersburgu (może dlatego były potomkinowskie wsie, że Petersburg został zaprojektowany jako potomkinowska Europa...) – ale czyż, nawiązując do ekspresjonizmu Republiki Weimarskiej, nie mogli przewidzieć, na jakie narażają się niebezpieczeństwa? W każdym razie to ich strata, my akurat mieliśmy inne problemy: wracaliśmy do Europy, bo narazie można było wymienić złotówki na dietetyczną Colę i fistaszki. Dowcip z lat siedemdziesiątych – „gofra, łoda i do pracy” – dalej był aktualny, zmieniały się rekvizyty.

14 listopada Komitet Wyborczy Tadeusza Mazowieckiego nadał na cały kraj list gończy: z fiata 125p ukradziono materiały filmowe przygotowane na użytek kampanii, zapowiadanych fajerwerków raczej zatem nie będzie. Wydarzenie to, jak sądzę, pozwala zorientować się nawet największym idealistom w różnicach programowych obu czołowych pretendentów do urzędu prezydenta: Lech Wałęsa mówi „nie chcę być prezydentem, muszę być prezydentem”, natomiast program Mazowieckiego brzmi „muszę być prezydentem, nie chcę być prezydentem”. Są to programy realizowane konsekwentnie, a ich lustrzaną symetryczność zaapewnia niewątpliwie etos „Solidarności”.

Ta przedwyborcza afera (nazwijmy ją, zgodnie z obowiązującą modą, z angielska Streetgate) tłumaczy również wygląd naszych ulic, którymi zmierzamy do Europy. Trwa na nich nie karnawał, ale ikonoklastyczne boje. Spór na programy został zastąpiony niszczeniem obrazu przeciwnika. Owa symboliczna operacja na poziomie asfaltu przybrała wymiar dosłowny i polega na pastwieniu się nad wydrukowanymi na afiszach portretami. Magia sympatyczna opiera się, jak wiadomo, na wbijaniu szpilek i wydłubywaniu woskowej lalce oczu.

Zwolennicy programów bardziej radykalnych, którym to nie wystarczy (bo nie każdy może zrozumieć, dlaczego policja, zamiast patrolować ulice, modli się w dzielnicowej kaplicy), walą na odlew w szyby, zaklejone nędznymi typograficznymi plakatami. Hartowana szyba rozpryskuje się pod ciosem pięści równie pięknie, jak, nie przymierzając, na kreskówce wy-

produkowanej przez łódzki „Semafor” gruba kreska premiera Mazowieckiego pod ciosami siekiery.

Nikt, popijając fistaszki dietetyczną Colą, choć powołuje się na tradycję i etos, pamiętać nie chce o przedwojennym daniu: o skumbriach w tomacie.

Pstrąg. Jak powiada ludowe przysłowie: nim SPRING wejdzie, PSTRĄG oczy wyje...

Tadeusz Komendant

P.S. Poprzedni artykuł polityczny był od początku do końca – świadczyła o tym typografia – akrostychem: pierwsze litery poszczególnych linijek układały się w hasło. Osobiście nic nie miałbym przeciwko temu – to moja agitacja przedwyborcza – gdyby okazało się, że niewiele osób cierpi na lewoskrętnego zeza...

T.K.

## Galeria na rozdrożu



Wrocław, kino „Światowid”

Janusz Węgiełek

Zaraz na początku swego przeglądu problemów historii cywilizacji Fernand Braudel popełnia kardynały błąd. Stwierdza mianowicie: „Przed wszystkim mamy do czynienia z cywilizacją, pojęciem obejmującym całą ludzkość, oraz cywilizacjami, rozrzuconymi w czasie i przestrzeni.”

Otóż czegoś takiego, jak ogólnoludzki ustrój życia zbiorowego, nie ma i nigdy nie było – naturalnymi zresztemi największej miary są cywilizacje (Feliks Koneczny). Nie możemy natomiast wykluczyć wyłonienia się takiej uniwersalnej organizacji z tym że nie będzie to już cywilizacja, tylko antycywilizacja. Samo już słowo niesie sugestię, że mówimy tu o czymś innym niż „barbarzyństwo”, które funkcjonowało dotąd jako zaprzeczenie cywilizacji, i oznaczało bądź to ludy nie objęte jakąś cywilizacją na przykład grecko-rzymską, bądź to mniejsze lub większe hordy grabieżcze pozbawione wszelkich cech społeczności cywilizowanej.

Termin „antycywilizacja” nie odniósł dotąd w nauce należnego mu sukcesu. Pewne jego użycie, jak na przykład „antykultura” u Zdziechowskiego, są przypadkowe i niekonsekwentne. Trudno się temu dziwić. Nie dysponujemy bowiem żadnymi modelowymi konstrukcjami upadku i śmierci cywilizacji z racji zwycięstwa antycywilizacji. Cokolwiek byśmy powiedzieli o zawaleniu się w przeszłości pewnych *major civilizations*, czynniki antycywilizacyjne nie odegrały w tym żadnej roli.

Ponadto nie jest obojętne, czy używamy terminu „antycywilizacja”, czy też takich określeń, jak „system komunistyczny”, „totalitaryzm i imperializm sowiecki”, „stalinizm”, „zrealizowany socjalizm”, i tak dalej. „System komunistyczny” sugeruje na przykład jakiś – mimo wszystko – pozytywny wariant rozwiązania problemów ekonomiczno-społecznych, zaś „zrealizowany socjalizm” wskazuje na decydującą rolę myśli socjalistycznej w ukształtowaniu się tego wariantu (Leszek Kołakowski *Główne nurty marksizmu*). Bankructwo tej myśli byłoby równoznaczne zatem z głębokim kryzysem i bezpowrotnym rozpadem całego systemu (Zbigniew Brzeziński). Z kolei „totalitaryzm i imperializm sowiecki” szuka porównań i analogii w innych przestrzeniach lub epokach, zaś „stalinizm” akcentuje przemijalność i historyczną przypadkowość zjawiska. We wszystkich tych słownych ujęciach widzimy ponadto błąd, chorobę, zbrodnię, przemoc, a więc jakieś naruszenie, złamanie, zafałszowanie, słowem – zepsucie norm cywilizacyjnych. Nie dostrzegamy wszakże owej czystej negatywności godzącej w samą podstawę cywilizacji, jakiegokolwiek cywilizacji.

Antycywilizacyjny bakcyl zawsze był w cywilizacjach obecny, lecz żeby się uaktywnił, musiało zaistnieć szereg sprzężonych synchronicznie warunków

Dla defensorów cywilizacji zachodniej już w pierwszej połowie XIX wieku było całkiem jasne, że z francuską ideą wszechwładzy ludu i ogólnym trendem ku sekularyzacji łączy się jak najściślej niemiecki dogmat filozoficzny nieomyślności rozumu.

Zygmunt Krasiński, na przykład, reaguje na akty agresywnego ateizmu jako na zagrożenie szczególnie poważne. Można by co prawda się spierać, co jest tym właściwym ateizmem, prozelicki ateizm agresji czy chłodny ateizm odmowy, niemniej pozostaje faktem, że antyreligijne życie przeciwne jest rozwojowi każdej cywilizacji. Nie ma, nie było i nigdy nie będzie cywilizacji ateistycznych, a więc takich, w których człowiek miałby być najwyższym prawodawcą w sprawach dobra i zła. Cokolwiek moglibyśmy o takim antycywilizacyjnym tworze powiedzieć, jedno wydaje się pewne – pozbawiony jest on kompletnie pierwiastka arystokratyczności. Albowiem „w ramach naturalistycznego pojęcia człowieka nie da się uprawomocnić jego godności”; „idea godności, jeśli nie jest kaprysem fantazji, może być ufundowana tylko na autorytecie niezniszczalnego Rozumu” (Kołakowski).

Na jakąkolwiek więc cywilizację zwrócimy spojrzenie, czy to na cywilizację sakralną, w której religia i jej sakralne prawodawstwo rozstrzyga o całości cywilizacyjnego *quincunx*, czy na cywilizację typu cywilizacji łacińskiej, w której religia, stanowiąc jej najważniejszą część, nie jest bynajmniej nią samą, nieodmiennie dochodzimy do wniosku, że cywilizacje muszą być albo oparte na fundamencie religii, albo nie będzie ich wcale.

Tylko antycywilizacja równoznaczna jest z nietolerancją. Innymi słowy: antycywilizacja nie może być tolerancyjna, tak jak dzuma czy jakaś inna śmiertelna choroba nie może oszczędzać swych ofiar. Antycywilizacja, co najwyżej, może przyoblec maskę tolerancji, na jakiś czas zawiesić czy też spowolnić niszczenie, jeśli zaatakowany organizm wykazuje się aktualnie pewną odpornością lub, co odsyła do fundamentalnej dla antycywilizacji kwestii pasożytnictwa, ulega procesom rozkładu zbyt szybko. Antycywilizacja, będąca zjawiskiem uniwersalnym, szerszym od cywilizacji (cywilizacji bywało i jest różnaitość – antycywilizacja jest jedna), musi być nietolerancyjna wobec wszystkiego, czyli dosięga własną destrukcją równocześnie wszystkich pięciu składających się na cywilizacyjne *quincunx* kategorii bytowania ludzkiego (Koneczny) Dobra Praw

dy, zdrowia Cieleśnego, Dobrobytu i Piękna (właściwie Piękna i Piękności).

Natomiast w mnogości i różnaitości cywilizacji wszystkie one są mniej lub bardziej tolerancyjne, czy raczej – każdą cywilizację współokreślają akty autentycznej tolerancji.

„Wszystkie żywe cywilizacje – pisze Fernand Braudel – są zdolne do eksportowania swych dóbr, do promieniowania. Nie można sobie wyobrazić cywilizacji, która nie eksportowałaaby ludzi, sposobów myślenia lub życia.” Wynika stąd, że zdolności dawania musi odpowiadać u cywilizacji sąsiedniej zdolność przyjmowania. Równocześnie „wielką cywilizację poznajemy także i po tym, że pożyczają nie chce, że sprzeciwia się ustalonym zaszerogonom, że wybiera wśród tego, co proponują jej pożyczający, a co często by jej narzucili, gdyby nie jej czujność

zapatrywania na dobro i zło, ale zawsze będzie to jakaś etyka, na piękno i szpetność, ale zawsze będzie to jakaś estetyka; na społeczeństwo i państwo, ale zawsze będzie to jakaś polityka; na szkodę i pożytek, ale zawsze będzie to jakaś ekonomika. Tymczasem antycywilizacja, która wiele kradnie, by niczego nie zapożyczać i niczego nie stwarzać, nie stwarza też żadnej etyki ani ekonomii, a tylko ich bylejakie formy negatywne.

Bogactwo i różnorodność środków dezinformujących i propagandowych, stosowanych przez antycywilizację, ma właśnie temu służyć – przekonaniu innych, że kontaktują się z jakąś cywilizacją, może nie w pełni jeszcze ukształtowaną, może niedoskonalą, lecz w każdym razie opartą na wspólnych wszystkim wartościach cywilizacyjnych, stąd potencjalnie zdolną do pozytywnego rozwoju, reform i ewolucji. Dać temu wiarę jest dużo łatwiej niż nie wierzyć, a to chociażby z powodu mocy cywilizacyjnego *a priori* w naszym widzeniu świata.

Przez długi okres, bo od połowy XVIII wieku niemal do naszych czasów, słowo „cywilizacja” towarzyszył przeciwstawny mu termin „barbarzyństwo”, pod którym rozumiano po prostu brak cywilizacji, pewną dzikość, niekiedy stan zbliżony do naturalnego. Obojętnie zresztą, które z tych znaczeń przyjmujemy, barbarzyństwo nie wymagało demaskacji. Barbarzyńca był jednoznaczny, jawny w swym barbarzyństwie, posunięty aż do szczerości w niedostatku lub odmienności cywilizacji. Odróżniał się od człowieka cywilizowanego już to jako „pijany

## Cywilizacja i antycywilizacja



JERZY TCHÓRZEWSKI

bądź prościej niezgodność usposobienia i apetytu.”

Każda cywilizacja, znów w odróżnieniu od antycywilizacji, nietolerancyjnej wobec kultur najodleglejszych kontynentów, jest w pełni tolerancyjna wobec cywilizacji, która znajduje się poza obszarem jej bezpośrednich oddziaływań, czyli z którą nie graniczy. Natomiast „jeżeli istniejące obok siebie cywilizacje mieszczą się obok siebie w obojętnym spokoju, widocznie obie pozbawione są sił żywotnych” (Koneczny).

Szeroka tolerancja w stosunku do cywilizacji sąsiedniej, charakteryzującej się dużą ekspansywnością, grozi utratą cywilizacyjnej tożsamości

„Toteż gdziekolwiek zetkną się ze sobą dwie cywilizacje żywotne, walczyć z sobą muszą. Wszelka cywilizacja żywotna, nie obumierająca, jest zaczepna.” (tenże)

Tak więc, o ile niewybredność pod względem gustu i smaku grozi załamaniem przez inną cywilizację, o tyle tolerancja wobec antycywilizacji jest efektywnym lub, jak kto woli, żalonym rodzajem samozniszczenia

Zeby przyjąć tolerancyjną postawę w stosunku do antycywilizacji i nie popaść w kolizję ze zdrowym rozsądkiem, trzeba wpięć zamknięte oczy na wszelką namacalność i antycywilizację nazwać jakąś cywilizacją, w puszczy zobaczyć kształt. Wtedy, zwyciężony przez tę inną „cywilizację”, zmienię wprawdzie

Burgund o włosach śmierdzących zjełczałym masłem”, wstrętny, budzący odrazę, już to jako Aztek składający ofiarę z ludzi i rytualnie pijący ich krew.

Barbarzyńca zatem jest inny, odrębny w każdym calu, rozpoznawalny na pierwszy rzut oka. Barbarzyństwo objawia się zawsze jako system sprzeczny z systemem jakiegokolwiek cywilizacji, a więc ujemny, wymagający zniszczenia lub przynajmniej odparcia. Reakcją na barbarzyństwo jest opór, wzajemna ekspansja, negatywne uprzedzenie.

Otóż antycywilizacji, w odróżnieniu od barbarzyństwa, brak tego elementu wyróżniającego. Spotkaniu antycywilizacji z cywilizacją nie towarzyszą ani zawrotne kontrasty w sposobach widzenia, ani też silne, wstrząsające całym jestestwem człowieka uczucia odrazy, podziwu, dziwności. Owszem, pewne różnice istnieją, nie mogą zresztą nie istnieć, lecz mieszczą się jak najbardziej w przedziałach lepszy-gorszy, brzydszy-ladniejszy, biedniejszy-bogatszy... Antycywilizacja jest inna od cywilizacji, tę inność się czuje i dostrzega, rzadko jednak na tyle, ażeby móc orzec, że jest to inność, jakiej nie doświadczyła jeszcze żadna cywilizacja związana stosunkiem z jakimś barbarzyństwem.

Czyżbyśmy zatem dotykali tu fenomenu „barbarzyństwa

dokończenie na s. 5

## Magazyn z kornikami

Ziemia stęknęła. Słyszały to dzieci w klasie.

Oblatywacz podobno nadał sygnał do bazy. Podobno starał się ominąć szkołę. Lecz koniec był nieuchronny. Myśliwiec dosłownie jak strzała zranił ziemię. Skłon zbocza góry tuż pod lasem, za szkołą w Olszanicach.

Niedługo przyleciał ciężki wojskowy helikopter. Sowieccy saperzy odpędzili ciekawskie dzieci. Nie tylko zresztą dzieci. Natychmiast zabrali się do zabezpieczania miejsca katastrofy. Tak więc próbny lot myśliwca nowego typu nie mógł zostać zaliczony do udanych. Jeden z żołnierzy stwierdził: „lądowanie nieprawidłowe”. Ci, którzy rozumieli rosyjski, myśleli: kpi? „Lądowanie nieprawidłowe”, gdy kadłub odrzutowca wszywa się dwanaście metrów w ziemię?

Ekspłduje co jakiś czas. Podobno amunicja. Choć Bóg wie co. Podobno leciał z dwoma rakietami, ale one nie eksplodowały. Na pewno nie wybuchły, więc miał je – podobno!

Człowiek, który uczył w tej szkole kilka pokoleń, który już pije mleko emeryta, który mieszka niewiele kilometrów od granicy, którego wiersze drukowała „nawet centralna prasa”, przygnieciony niechęcią nietolerancji rodziny, pokazał Januszowi R. resztki samolotu. Wyjął z szuflady zębate kółka owinięte w foliowe worki, odłamek poskręcanej blachy lżejszej od piórka, jeszcze coś nieokreślonego w kształcie. Zachował to dyskretnie „na pamiątkę”. Uchował, bo przecież on jest żywą historią tej ziemi. Niedługo powinien dostać Krzyż Kawalerski – obiecali. Bardzo się boi, ponieważ mówią, że resztki samolotu mogą być napromieniowane. Więc zawinie je dodatkowo w metalową folię.

Człowiek, który jest ogromnie wrażliwy, opowiada Januszowi R. o tym, jak pułkownik, który przyleciał na miejsce wypadku niedługo po saperach, handlował złotem. Sprzedawał pierścionki i podobne precjoza.

Wszystko kończy się dobrze, jeśli nie kończy się szokiem. Ale szok nastąpił. Kiedy jeden z miejscowych wziął obrączkę, niby niechcący upuścił ją na kamień i nie zadźwięczała jak złoto, wtedy głośno, na uszach gawiedzi, wydał wyrok: tombak!

Powstał rwetes. Ci, którzy transakcji już dokonali, zaczęli szaleć. Pułkownik tłumaczył, że to nie tombak, że na pewno złoto. Miotał się, chciał rzekomego znawcę metali szlachetnych zliczować. Na szczęście znawca okazał się rusycystą. Dogadał się z pułkownikiem. Argument, że jest jednym z nich, że tylko z powodu zmiany granic ostał się tutaj pozostając przy młodej żonie w Polsce, przemówił do sowieckiego pułkownika. Wrażliwy człowiek, który na pewno jest poetą, uważał ten incydent za incydent. Ba – za skandal!

Następny helikopter przyleciał z generałem. Staruszką. Wyniesiono go z kabiru z zrosniętego z wygodnym fotelem. Siedział rozparty, oglądał dzieło zniszczenia. Polecił, by w miejscu tragedii

postawić pomnik „Gieroj Sowieckiego Sojuza”. Ktoś z gminnych władz wyraził aprobatę: „na pewno tak się stanie... choć, choć sprawa może się przeciągnąć... fundusze...” Generał uśmiechnął się, uspokoił go i objaśnił, że w jego kraju przygotowani są na wszystko, mają także gotowe pomniki. Właśnie przywiózł jeden z sobą. Kiwnął balcem i sprężysty,

mi. Gotowe trumny zajęłyby dużo miejsca. Obliczono, że jest jeszcze sześć podobnych cerkwi.

Człowiek bardzo wrażliwy wysoko ocenił człowieka chudego, który niemal całe życie poświęcił pilnowaniu nagrobków. Chudy człowiek bowiem bardzo uważnie słuchał człowieka wrażliwego. Stwierdził, że jego wiersze, tak ładnie



EDWARD DWURNIK

chudy człowiek, więcej niż w wieku dojrzałym, potruchtał do helikoptera, który dopiero co nadleciał, jako już czwarty z kolei. Z pomocą żołnierzy-osilków przytargał czerwony plaster granitu z napisem cyrylicą „Gieroj...” Miejsce na nazwisko i daty zapelniał w mgnieniu oka, ponieważ czas już je wydrukował.

Chudy, więcej niż dojrzały człowiek, miał obowiązek wszystkiego dopilnować. Przyleciał tu, do obcego kraju, pierwszy raz w życiu. Dotąd jego codzienna droga rozpięta była pomiędzy domem a starą cerkwią, której cebulaste wieże przestały się pysznić w rok po rewolucji. W jej murach, nakrytych deskami i papą mieszczał się magazyn nagrobków „Gieroj...” oraz desek na trumny. Desek przyciętych odpowiednio, tylko pozbijając je gwoździ-

recytowane z pamięci, poruszyły go do głębi. Wyznał, że ogromnie się cieszy. Że marzył w młodości o spotkaniu z Puszkinem, choć zdawał sobie sprawę, że to niemożliwe. I że teraz w zamian dane mu jest zasnąć szczęścia zetknięcia się z innym poetą. Też prawdziwym, bo żywym. To sen się spełnił, sen.

Chudy człowiek opowiadał człowiekowi wrażliwemu o swej pracy. Rozumiał po polsku, ponieważ jego dziadkowie znali polski. Pochodzili spod Omska, ale ojcowie dziadków pochodzili z majątku Kamieniec – lecz on nie wie gdzie to jest. I mieli letniskowy dom, to jest: daczę. Tak zapamiętał. W Zaleszczykach. Lecz on już nie pamięta co to jest Zaleszczyk.

Gdy wrażliwy człowiek skończył mówić swoje wiersze, chudy człowiek od

pilnowania magazynu z nagrobkami zaczął nieśmiało, kalecząc polski, opowiadać o swojej ciekawej i odpowiedzialnej pracy.

Do magazynu po cerkwi miał wiorstę. Przemierzał ją codziennie piechotą, skrajem lasu. Dalej, przez kwitnące całe lato łąki. Od kiedy zafasował służbowy rower, wszystko stało się łatwiejsze. Tylko zimą nadal piechotą.

Przystawiona budka przed wejściem do magazynu służy mu za schronienie. Choć w niej nie powinien przebywać w czasie służby – tym bardziej, że ma karabin, złodziej nie śpi.

Dawno temu, dawno jak na początku bajki, pewnego upalnego lata, zakochał się w muzyce świerszczy. Dotąd jakby ich nie słyszał. A przecież wokół równiny, jak okiem sięgnąć nie uprawiane przestrzenie, wieczne łąki. Nie słyszał też ptaków, które budziły pobliski las o brzasku i kolebały go do snu. Lecz od tamtego skwarowego lata już nie wchodził do magazynu, prócz chwili, gdy sprawdzał stan nagrobków i stopy desek. Nie musiał ich liczyć, sprytnie oznakował, na oko wiedział, że nie brakuje ani szczapy. Tak więc krążył wokół murów, chwile deszczowe powierzał budce przy wejściu.

Teraz rozumiał co to ptasi chór. Ale lubował się w orkiestrze świerszczy. Lecz tamto lato skończyło się, jak każde lato. Świerszcze z dnia na dzień wycichały. Jednego popołudnia, kiedy las już niemal nagi stał na baczność, gdy wiatr nawet nie oddychał, on usłyszał dalekie i ciche strzyżenie świerszczy. Usiłował zbadać zjawę, nie ufał swoim zmysłom. Jednak nie omylił się. Świerszcze cykały wewnątrz magazynu z oblatym tynkiem. Cykady w środku. Nie do wiary: czyżby przeniosły się tam zimować?

Chudy człowiek, o wiele więcej niż dojrzały, odtąd spędzał czas wewnątrz magazynu. Należało jeszcze wyłowić uchem z jakich kątów dźwięk się dobywa. I kiedyś, już prawie zimą, bo okolica utonęła w nocy a rano wstał w bieli, dzień tak cichy, że wiatr zdawał się tylko dalekim wspomnieniem – odkrył!

Szept świerszczy podchodził ze stosów równo przypilnowanych desek. Po gruntownej analizie okazało się, że nie były to jednak uwielbiane świerszcze. Rozczarowanie przyniosło ból. Lecz i on minął po paru dniach. Zwłaszcza w bezwietrzne, ciche przedpołudnia rodziła się nowa miłość. Do korników. Drewnojadów. To one drążyły ścieżki wewnątrz desek na trumny strzykając oszukańczo.

Chudy człowiek uważał, że jest to na pewno zgodne z naturą, że trumna również musi mieć swoje żyły, w których płynie szelest korników. Tak jak w człowieku płynie krew żyłami, zbierając swój szmer w muszlach uszu. Z chwilą śmierci krew człowieka zastyga, ciało spowija drewniany całun trumny i razem – ciało i deska – zostają pogrzebani w wiecznej ziemi. Zgodził się z tym człowiek bardzo wrażliwy, słuchając teraz nie tego co słyszy, ile własnych słów, które komponują się w nowy wiersz, zwany „świeżym utworem”.

Korniki jakby się rozumiały. Może faktycznie tak było. Minęła zima, nadeszła wiosna i ptactwo ożyło. Kiełkowały w trawach świerszcze. Ich chóralne śpiewy nie były już zdarzone taką samą miłością jak zeszłego lata. Człowiek pilnujący nagrobków „Gieroj” wołał już bowiem korniki. Już przywykł przebywać we wnętrzu murów. Nawet czasami, głównie wieczorem, świerszcze przeszkadzały mu. Były zbyt metalowe. Piłowały jak ostre pilniki. Piłowały nawet gruby, pocerkiewny mur magazynu.

Pewnego razu, podczas służby, przyjechała czarna wołga. Wysiedli z niej wysocy rangą wojskowi i cywil. Przyjechali



obok siebie w takim porządku, w jakim powstały – od pięknej do tragicznej, bo tylko tak tworzą – jej zdaniem – jakąś całość, coś o niej mówią. Choć właściwie, czy to zastrzeżenie miało sens? Bo czy ktoś w Polsce zna jeszcze jej nazwisko?

W 1983, w Centre Pompidou w Paryżu, na wystawie *Présence Polonaise*, wśród przybyłych z Polski portretów Witkacego był także i jej – ten ładny, podobny. Jeszcze wtedy trochę widziała, była półociemniała, wybrała się więc do Paryża i przeżyła niezapomniany dzień. To trudne do opisanego, wzruszające: dobrze po osiemdziesiątce, w centrum Paryża, oglądać siebie sprzed przeszło pół wieku, podziwaną przez tłumy.

Martwiła się tylko, że to wyłącznie jeden z jej obrazów, że wyrwano go z całości, na której tak jej zależało. Nie wie też, w jakim stanie są dziś jej portrety. Czy nie gniją gdzieś w piwnicy albo przypadły w słupskim komitecie?

Odwiedzam więc później Muzeum w Słupsku i piszę do niej, że w Centre Pompidou była tylko „jedna Krzywicka” ze względu na konkurencję, pojechały, zebrane z całej Polski, najróżniejsze jego prace. Wszystkie jej portrety są – dzięki staraniom kustosa Teresy Skórowej – w bardzo dobrym stanie, wiszą w takim porządku, jak sobie zażyczyła i co więcej – obok Boya!

### Motylkowaty wampir

Mieszkająca również w Paryżu Ola Watowa (rocznik 1903), poznała Witkacego – tak zresztą jak niemal wszystkich – dzięki Aleksandrowi, który znał go już wcześniej, jeszcze przed ich ślubem. Choć *Mopsożelazny piecyk* Aleksandra wydany w 1919 uznano za co najmniej dziwactwo, Witkacy od razu się nim zachwycił, i mimo że nie znał jego autora – zaprosił go do siebie do Zakopanego.

Potem było to wszystko, co opisał Aleksander w *Moim wieku* – „Czerwony Dwór” na Kasprusiach i kilkunastu, pijackich orgiach. Dyskusje i rozmowy, dzięki którym był bardzo przez niego „impressionné” – trudno już jej czasem znaleźć polskie słowo.

Ich drogi rozeszły się, gdy Aleksander zaczął redagować komunistyczny „Miesięcznik Literacki”, czego Witkacy kompletnie nie mógł zrozumieć. – Co się z tym Watem stało? – dziwił się. Choć Aleksander – zawsze będzie to Ola powtarzać – został komunistą, kiedy nie było to wygodne, przestał, gdy zaczęło to być wygodne.

Ona natomiast poznała go w Zakopanem wkrótce po ślubie z Aleksandrem, czyli po 1927. Przyjechała sama i natychmiast do niego pobięła. Marzyła, żeby go jak najszybciej poznać – tyle już przecież o nim od Aleksandra słyszała, znała jego legendę – są bowiem pisarze, którzy jej nie mają oraz ci, którzy ją sobie tworzyć potrafią i Witkacy właśnie do nich należał.

Gdy ją zobaczył, powiedział – ale bardzo serdecznie – że przypomina mu psa, który urwał się z łańcucha. I rzeczywiście – była zdyszana, podekscytowana tym, że go wreszcie poznała. Oczarowana Zakopanem – cudownym wtedy miejscem. Góry, doliny, kryształowe powietrze, a przede wszystkim – niepowtarzalna, „halna” atmosfera. Bo i górale i pisarze, artyści przesiadujący u Trzaski oraz Kasprowicza. Dyskusje, pijaństwa, ale niebanalne. W Harendzie, gdzie królowała „literatowa” Marusia, bywał też Witkacy, który i tam prezentował swój „teatr”. Celebrował na przykład picie herbaty – nalewał, wylewał, próbował, robił miny, naśladował znajomych – miał dar imitowania głosów i gestów, improwizowania całych scen.

Odwiedził ich potem kilka razy w Warszawie. Już przy kości, z brzuszkiem,

Joanna Siedlecka

# Perskie księżniczki

który wciągał, co z kolei powiększało mu klatkę piersiową. Śmiał się więc, że ma rozedmę płuc. Aleksander usiłował przekonać go kiedyś do komunizmu, ale Witkacy przeszedł przeciw rewolucję 1917 roku i miał na tym punkcie uraz, bał się Rosji, więzienia. Był przerażony, gdy w 1931, po likwidacji „Miesięcznika” Aleksander siedział trzy miesiące. Nie pojmował, jak można wytrzymać w zamknięciu aż tyle czasu!

W Warszawie właśnie namalował Aleksandrowi dwa portrety, dla niej tylko jeden – ale sam to przyznawał – przepiękny. Aleksander natomiast uważał, że wyglądała na nim jak „motylkowaty wampir”. Była piękna, „wylizana”, lecz uchwycił też coś z wnętrza, z „tajemniczy istnienia”. Szkoda, że przepadł, tak samo zresztą jak i portrety Aleksandra, nie ma nawet fotografii. Uciekali z Warszawy w szóstym dniu wojny zostawiając wszystko – książki, meble, obrazy, nie tylko Witkacego, ale i Kramsztyka, Czyżewskiego.

Do dziś ma nadzieję, że może jeszcze „wyplynie”? Ich mieszkanie nie zostało bowiem zniszczone, a rozgrabione. W 1983, na wystawie *Présence Polonaise* w Centrum Pompidou zobaczyła „swój” portret Bruna Jasińskiego w monoklu, dzieło Tytusa Czyżewskiego. Był obecnie własnością Muzeum w Łodzi, które go po prostu od kogoś kupiło, a obowiązuje ich tajemnica sprzedaży.

Trudno oczywiście po tylu latach pamiętać treść ich rozmów. Zostały migawki, okrucieństwa. Nie był wcale – jak go na ogół przedstawiano – kawalerzem, a przynajmniej dla niej – postacią tragiczną, o nieustannym poczuciu „przeżalności istnienia”. Jego „teatr” – maską, za którą ukrywał właśnie swój tragizm i życie wcale nie takie barwne.

Został też w jej pamięci jako ktoś niepowtarzalny, w jednym egzemplarzu. Nie ma i nie było nikogo do niego podobnego. Jak Józio Czapski czy Czesław Miłosz, którego zresztą ubóstwia szczególnie: choć Aleksander mówił już „na ból”, że wymusił z niego *Mój wiek* i nie ukrywał, że sam stał się narkomanem tych rozmów.

Ma ciągle paszport uchodźcy uprawniający do odwiedzania wszystkich krajów, z wyjątkiem kraju wygnania, tak że dopiero w 1980, roku „Solidarności” mogła odwiedzić Polskę: Warszawę, Łaski oraz właśnie tak bardzo witkacowskie Zakopane. I niepotrzebnie się tam wybrała, zepsuła tylko sobie wspomnienia. Góry wprowadziła nadal piękne, ale oprócz tego – brud, smród, tłumy turystów z ciupagami. Górale w ortalionowych kurtkach, bistorowych spodniach, tak że gdy zobaczyła jednego w białych, haftowanych rzucała mu się niemal na szyję!

Nie było również „halnej” atmosfery, literackiej kawiarni. Ani też – zupełnie kiedyś nie do pomyślenia – żadnych znajomych! Z wyjątkiem Alicji Sternowej oraz Pawła Hertza, których spotkała w „Astorii”, gdzie mieszkała.

Podczas drugiej wizyty w Polsce, w 1989, w domu ZAiKSu w Konstancinie, gdzie mieszkała, znalazła już tylko wdowę po Brzechwie i Monikę Żeromską, która jadła tam obiady. W Nieborowie – wyłącznie Międzyrzeczkich.

Choć miała i spotkania zaskakujące – chociażby z córką Stefanią Skwarczyńskiej, z nią, jej matką i rodzeństwem przeszła Kazachstan. Znów więc stanął przed oczyma świat, którego chciał właśnie uniknąć Witkacy. Zastępowała woły, miesiła glinę, suszyła nawóz i codziennie sztyletowały ją prośby syna – „mamo, jeść!”

Ujrzała również tłum niczym z dramatów Witkacego – szary, bezwolny, agresywny, nie znoszący się nawzajem. Brud, niechlujstwo, sowiecka moralność. Owszem, „środowisko” wspaniałe, ale – szczególnie młode pokolenie – już zso-wietyzowane, „pierekowka” zrobiła jednak swoje.

Większość ludzi z jej pokolenia, nawet młodszego, dawno nie żyje. Przeżyła wiele osób najbliższych. Były to śmierci naturalne, z którymi musiała się pogodzić. Tragiczna śmierć Witkacego należy do tych, nad którymi do dziś trudno przejść do porządku dziennego. Tak mało go znała, ale nigdy go nie zapomni.

### Dolores Ibárruri

Elżbieta Szemplińska-Sobolewska (rocznik 1910), powieściopisarka, poetka, wpisała się do historii literatury działalnością w tak zwanym aktywie lwowskim organizującym „kulturę” na ziemiach polskich włączonych po 17 września do ZSRR, a także wierszami w „Czerwonym Sztandarze”, gloryfikującymi „wrzesień wyzwolenia”, „ojczyznę sierpa i młota”, opluwającymi natomiast „Polskę jaśnie panów, terroru i krwi”.

Już przed wojną publikowała w piśmie KPP i PPS, związana była z Wasilewską, Broniewskim, Stawarem.

Zdziwiła się więc oczywiście, gdy, zdaje się w 1935, ni z tego, ni z owego zadzwonił do niej Witkacy, którego osobiście nie znała – był z „innego świata”. Powiedział, że chciałby namalować jej portret, że bardzo go intryguje. Komunistki są na ogół stare i szkaradne, ona natomiast – jak twierdził – jest delikatną, przepiękną blondynką w jego typie. Widział ją w *IPS*ie czy „Ziemiańskiej”, gdzie czasem wpadała.

Zrobił jej szybko dwa portrety. Pierwszy z nich – jak sam powiedział – miał przedstawiać ją jako polską Dolores Ibárruri prowadzącą lud na barykady. Cała w tonacji czerwonej, z energicznym wyrazem twarzy. Nad głową czerwona aureola z ognia i płomieni.

Powiedział jej również, że „Dolores” to na pewno tylko etap jej życia – piękne kobiety nie mogą być tylko rewolucjonis-

tkami. Musi więc mieć portret drugi, który też zrobił błyskawicznie – tak zwany wylizany, słodki, łagodny, przepiękny.

Choć jej przyjaciele – Broniewski, Stawar, Wasilewska, uważali go właściwie za wariata, bardzo jej zazdrościli. Portretował bowiem ówczesny, liczący się Parnas, tak że też by pewnie chcieli, ale wybrał tylko ją! Przekonywał ją również, że wkrótce zdystansuje na pewno Wasilewską, bo w odróżnieniu od niej ma jeszcze i urodę.

Po wybuchu wojny, z własnej woli, razem z mężem, dziennikarzem Zygmuntem Sobolewskim uciekli przez zieloną granicę do „ojczyzny światowego proletariatu”. Przed wyjazdem oddała „Dolores” na przechowanie rodzinie mieszkającej niedaleko późniejszego getta, gdzie spaliła się razem z całym domem wysadzonym w '43 przez Niemców.

„Łagodną” natomiast zawiozła do matki na Mokotów. Schowała za szafą, gdzie przetrwała szczęśliwie okupację, Powstanie. I jest obecnie w Muzeum Literatury.

I dziś, w losach swoich portretów widzi nie tylko przypadek. Pierwszy z nich musiał spłonąć, bo – tak jak przewidział Witkacy – nie ma już „Dolores”. Dawno bowiem przestała być komunistką, straciła wiarę, która drogę ją kosztowała. Ale stało się to oczywiście nie od razu, musiała przedtem przejść swoje.

Ze Lwowa ewakuowano ją z mężem w głąb Rosji, do Samarkandy, Kujbyszewa, Taszkientu. Przeszła głód, nędzę, chorobę, śmierć pierworodnego syna. W '44 wrócili do Polski z I Armią i szybko wysłano ich – jako „wypróbowanych towarzyszy” na placówkę do Luksemburga.

Tak jak wielu przecież, odmówili powrotu, próbowali się urządzać się na Zachodzie. „Oni” jednak nie zapomnieli o zemście. W 1951 mąż wyplął statkiem do Włoch i już nie wrócił, zginął w niewyjaśnionych okolicznościach.

Robiła wszystko, żeby je wyjaśnić, i w końcu Hiszpański Czerwony Krzyż odpisał, że między skałami na morzu znaleziono niezidentyfikowane ciało, które pochowano jako N.N. Pojechała do Hiszpanii, doprowadziła do ekshumacji, identyfikacji, pochowała go powtórnie, tyle że z nazwiskiem.

Chciała urządzać się w Paryżu – malowała, kleiła koperty i po prostu biedowała. Po latach starań, pomocy Putramenta, Brezy, Miłosa, po '56 pozwolono jej wrócić do kraju, zaczęto wydawać. Pisała już jednak tylko o miłości, Warszawie, wojnie. Malowała dzieci, koty, krzyże i Madonny z Dzieciątkiem – stała się bardzo wierząca. „Dolores” to okres zupełnie zamknięty...

...choć dzięki niemu mieszka dziś w zbawidowskim Domu Zasłużonego Kombatanta, gdzie warunki są o wiele lepsze od przeciętnych – każdy ma małe oddzielne mieszkanie z łazienką i kuchenką.

Po „Dolores” został jej też wielki strach. Ciągle jeszcze boi się mówić o Rosji, o śmierci męża, opublikować wspomnienia. Żyją przecież ludzie z tamtych lat. I czy wiadomo, w jakim kierunku pójdą w Związku Radzieckim zmiany?

Nie może czytać, ani oglądać telewizji – coraz gorzej widzi, a lekarze nie chcą już operować – w tym wieku? Najgorzej więc wieczorami – strach i samotność dokuca najbardziej. A żadnego wspólnego życia tutaj nie ma – każdy siedzi w swojej „dziupli”. Chciałaby więc przenieść się do zakładu sióstr Felicjanek – pokoje

wprawdzie czteroosobowe, ale opieka i atmosfera o wiele serdeczniejsze.

## General Bernadotte

Janina Kotarbińska (rocznik 1901), profesor logiki, dziś już na emeryturze, znała Witkacego głównie z opowieści męża, niezującego już profesora Kotarbińskiego, który się z nim przyjaźnił. Choć sama również go poznała – w latach trzydziestych w Warszawie – na „gruncie filozoficznym”. Była asystentką seminarium filozoficznego, sekretarką Towarzystwa Filozoficznego, do którego należał i gdzie czasem wpadał.

Uważał się przede wszystkim za filozofa, przywiązywał wielką wagę do swoich filozoficznych prac, szczególnie „główniaka” – *Pojęcie i twierdzeń implikowanych przez pojęcie Istnienia*. Mimo to, nie miał zupełnie w świecie filozoficznym pozycji. Lekceważono go – nie traktowano jak uczonego, raczej – jako filozofującego literata. Bo choć niby studiował trochę pod kierunkiem liczącego się niemieckiego filozofa Hansa Corneliusa – był samoukiem, amatorem, nie miał filozoficznego wykształcenia, opanowanej terminologii. Jego prace były mętne, mało przystępne, nieprecyzyjne. Nie mogła przez nie przebrnąć, choć próbowała.

Pamięta go również z anegdoty, bez której nie może się obejść żadna legenda. Otóż jej znajomi z Łodzi mieli chorą

dała je z awanturą oraz pretensjami. – To pani jest wszystkim winna i ponosi za to odpowiedzialność! – krzyczała. Jak się okazało, urządziła u siebie papojkę, na której odczytała listy gościom, wśród których był również Witkacy. Oszałał wręcz z zachwytu, oświadczył, że to talent, prawdziwa literatura! To skandal, że ktoś taki marnuje się jako służąca – trzeba jej ufundować literackie stypendium na powieść o generale Olesińskim! Mówił to pewnie „po pijaku”, Czajka natomiast – jak zwykle histeryczna, wzięła to na serio.

Choć się właściwie niby znali, nigdy jednak bliżej, zdziwiła się więc, gdy wpadł kiedyś do niej do Towarzystwa i zaproponował filozoficzną dyskusję. W cztery oczy, najlepiej u niego na Brackiej, gdzie – jak zapewniał – będą mieli spokój.

Sama się sobie dziwiąc, zgodziła się, poszła do niego następnego dnia, choć zupełnie nie miała ochoty. Była zima, mróz, ciemno. Żałowała, że się w ogóle z nim umówiła, wypadło jednak dotrzymać słowa.

Otworzył, przywitał się i z miejsca przeprosił, że nie jest zupełnie w nastroju do dyskusji. Chętnie natomiast namaluje jej portret, na który nie miała ochoty, ale

w którym kiedyś uczestniczyli, choć jej jeszcze nie znał i w ogóle nie zabierała głosu – bardzo się jej bał, niczym generała. Czuł, że jest poważna i surowa.

Ofiarował jej portret, ale przepadł, niestety, w czasie wojny. Dom, w którym był przechowywany, został zburzony.

Co dziwniejsze jednak – w pewnym sensie, los zetknął ją później jeszcze raz z generałem Bernadotte. Podczas wojny przeszła Oświęcim, potem Ravensbrück, skąd – razem z innymi więźniarkami – Szwedzi zwolnili je na dwa tygodnie przed końcem wojny. Ewakuowali je przez Danię do Szwecji. Zawdzięczały to staraniom oraz interwencji działacza Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, ważnej szwedzkiej figury – hrabiego Bernadotte, potomka generała, którego miała niby przypominać. Znow się więc niejako w jej życiu pojawił i skończył dla niej wojnę dwa tygodnie wcześniej. Dla więźniarki obozu koncentracyjnego to bardzo dużo, niemal wieczność.

## Ozdoba Juleczka

Pani Stefania Tuwimowa (rocznik 1893), wdowa po Julianie Tuwimie, znała Witkacego, ma portret, który jej w 1929 – na zamówienie męża – namalował. Portret Julka z myszką na pół twarzy

przyznaje – być „ozdobą Juleczka”. Dawno już wobec tego postanowiła – i dotrzymuje słowa – wycofać się z życia, w ogóle nie widywać ludzi. Myślą więc na ogół, że już nie żyje.

## Linkeuszowa

Pani Anna Linke (rocznik 1916)\*, tłumaczka literatury niemieckiej jest wdową po malarzu Bronisławie Linke, którego twórczością Witkacy był zafascynowany. Pisał o jego genialnych „koszmarach” i „makabrach”, choć budziły na ogół niechęć a nawet obrzydzenie, powierzył mu scenografię kilku swoich sztuk. Co więcej – zaprzyjaźnili się, ochrzcił go Linkeuszem, ją – Linkeuszową.

Niewiele ma jednak, niestety, o ich przyjaźni do powiedzenia. Bardzo go nie lubiła – drażnił ją i denerwował. Była młoda, zakochana, zazdrosna o przyjaźnię Bronka, a szczególnie właśnie z Witkacym. Uważała, że ma na Bronka zbyt wielki wpływ. Za dużo było wokół niego pięknych kobiet, o których mówił „perskie księżniczki”. Za dużo wódki, „pyfka”, potem „piciowyrzutów”, „demonizmu”. Bała się, że to się może dla ich małżeństwa źle skończyć.

Była zazdrosna, znał bowiem Bronka jeszcze przed ich małżeństwem, malował na przykład – i to kilkakrotnie – jego pierwszą żonę. Mieli wyłącznie swoje sprawy, swoje światy. Chociażby Zakopane, które Bronka bardzo kochał, laził po górach. Zakopiańską paczkę, do której należał między innymi Michał Choroński, Rafał Malczewski, Gucio Zamojski. Paczkę warszawską – Tadeusza Szurm de Sztrema, Struga.

Drażnił ją również domaganiem się holdów, uwielbienia, szacunku dla Wielkiego Mistrza oraz jego twórczości. A tymczasem, większość znanych jej osób i to z tak zwanego środowiska – drwiła nie tylko z Mistrza, ale i jego sztuk, powieści, portretów. W literaturze na przykład liczył się Kaden, Sieroszewski, Nałkowska, ale Witkacy?

Drażnił ją również swoimi przepowiedniami i wizjami. – Mahatma Witkac – mówił o sobie i prorokował katastrofę – zagładę Europy, najazd ze Wschodu, totalitarny system, w którym nie będzie miejsca dla artystów.

Uważała to wtedy za kabotyństwo i pozerstwo. Trzeba było lat, doświadczeń – przede wszystkim zsyłki na Syberię, PRLu, cierpień Bronka, który nie miał po wojnie a n i j e d n e j wystawy, żeby przyznała mu rację. Bo dziś, po przeszło pół wieku patrzy na niego inaczej. Wtedy była na to za młoda, za głupia.

Był wielkim miłośnikiem urody, młodości, witalności. Jej zdaniem, popełnił więc samobójstwo także i ze strachu przed starością. A już szczególnie w systemie, który przewidywał. Bał się chorób, niedołęstwa, samotności. Kończówki, która jest na ogół tak upokarzająca.

Doskonale to rozumie. Od lat już przecież nie wychodzi z domu, porusza się wyłącznie o kulach. Zaczyna tracić pamięć, wzrok, słuch. Jest zdana wyłącznie na czyjąś pomoc i gdy ktoś – zdarza się – nie przyjdzie – tragedia, nie może bowiem rozstać się z ukochanymi psami, które powinny przecież wyjść. Boi się też podnosić słuchawkę telefonu, żeby nie usłyszeć, że znow umarł ktoś bliski. A o ludziach mówi już wyłącznie w czasie przeszłym.

\* Anna Linke zmarła 5 kwietnia 1989 roku w Warszawie.



WITKACY *Furia adarmentata*, 1913 węgiel

psychicznie, lecz szalenie do nich przywiązaną służącą, która prosiła ją zawsze o wysłanie w Warszawie listów do generała Olesińskiego, absolutnie urojonej postaci. Były to klasyczne listy chorej psychicznie – o Marii Konopnickiej, Lehum-Poleium, małpach. Trzymała je oczywiście w szufladzie i wspominała kiedyś o nich – jako psychologowi – profesorowi Witwickiemu. I od niego, zdaje się, dowiedziała się o ich istnieniu ekscentryczna Izabela Czajka, która była przez pewien czas słuchaczką seminarium filozoficznego.

I Czajka właśnie wyblagała od niej te listy, niby to w celach naukowych. Od-

cóż, skoro już przyszła.

Zrobił go błyskawicznie – był pół naturalistyczny, pół dziwaczny. Owszem, podobna, ale z tyłu na przykład miała coś w rodzaju skrzydeł. A przede wszystkim – ponurą minę, rzeczywiście jednak tak wyglądała. Była zmarznięta, zła, że się w ogóle z nim umówiła i traci tylko czas. Powiedział, że jest – jego zdaniem – podobna do słynnego, napoleońskiego generała Bernadotte i taką ją właśnie namalował. (Bernadotte, znany z wielu bitew, generał, marszałek, a potem król Szwecji, stał się w końcu wrogiem Napoleona, przeciw któremu w 1812 wystąpił.) Powiedział jej również, że na seminarium,

oddała Muzeum Literatury. Nie chce jednak rozmawiać ani o Witkacym, ani o „tamtych czasach”. Nie czuje się już ostatnio najlepiej – myśli się urywają, terazniejszość miesza się często z przeszłością.

Co ważniejsze jednak (jak mówi mi jej kuzynka i opiekunka) – nie chce widzieć absolutnie nikogo, nawet najbliższych. Od czasu do czasu potrafi wprawdzie przyjmować swoją starość z humorem, ale w sumie bardzo ją przeżywa, a przede wszystkim – boleje nad zmienionym wyglądem. Była bowiem kiedyś kobietą bardzo piękną, przywiązującą do swojej urody i wyglądu dużą wagę. Lubiła – jak

# List do Mariana Stali

## Drogi Marianie,

nie mogę pozostawić bez komentarza Twojego zamieszczonego w „Tekstach Drugich” artykułu zatytułowanego „Polkowski, Machej, Świetlicki, Tekieli...”. Sprawy, które w nim rozważasz, również i dla mnie nie są epizodyczne. Zamyśl tego artykułu był niewątpliwie frapujący, lecz jego realizację uważam za przedwczesną, niektóre zaś wyciągnięte przez Ciebie wnioski są według mnie nie tylko pochopne, ale i oparte na błędnych przesłankach.

Zacznę od sprawy może tylko z pozoru zewnętrznej – od chronologii. Zagłębienie poetom w metrykę niekoniecznie musi przyczynić się do zrozumienia ich wierszy. Może jednak odegrać pewną rolę porządkującą dla historii literatury. Nie wiem skąd Ci przyszedł do głowy pomysł zaliczenia mnie do następców Polkowskiego, do „poetów, którzy przyszedli po nim”? Czyżby skłoniło Cię do tego proste obliczenie różnicy wieku albo może porównanie dat debiutów książkowych obu poetów? Czyżbyś nie był na tyle doświadczonym znawcą życia literackiego ostatnich kilkunastu lat w PRLu, żeby dać się zwieść pozorom tej pięcioletniej różnicy? Czy mam roztoczyć przed Tobą sentymentalną historię o tym, jak to pierwszy zbiór moich wierszy został odrzucony przez Wydawnictwo Literackie w 1980 roku, a później – uzupełniany o dalsze teksty – przeleżał w „Czytelniku” prawie cztery lata? A może opowiedzieć Ci wzruszające perypetie moich kontaktów listownych i osobistych z redaktorami rozmaitych czasopism z przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych (muszę dodać, że chodzi tu o czasopisma uznawane również wtedy za „niezależne” lub co najmniej „przyzwolone”). Oszczędzę sobie tego w nadziei, że dla Ciebie co innego ma znaczenie. Otóż obaj, Polkowski i ja, zaczęliśmy pisać wiersze w 1977 roku i napisaliśmy po kilkadziesiąt wierszy przed – umówmy się, że datą graniczną będzie 13 grudnia roku pamiętnego – i po. W swym artykule piszesz, że Polkowski stał się również i dla mnie „... jednym z istotnych punktów odniesienia. Jednym z tych, którym trzeba się poddać, albo pokonać, przekroczyć ich widzenie świata – aby ugruntować własną tożsamość.” Otóż, Marianie, zapewniam Cię, że tak nie było. Wiersze Polkowskiego, które zacząłem czytać (dodam, że bez entuzjazmu) dopiero jesienią 1983 roku, nie stanowiły dla mnie żadnego punktu odniesienia, a swoją tożsamość gruntowałem zupełnie na czym innym. Tak więc to, że zaliczasz mnie do grona następców Polkowskiego, uważam za zasadniczy błąd. Nie można zatem napisać, że odchodzę „od stylu myślenia Polkowskiego” (metafora przychodzenia lub odchodzenia nie znajduje tu zastosowania). Wolalbym także, żeby nie czytano moich wierszy „w przestrzeni wyznaczonej przez wiersze Polkowskiego”. Masz dziwne poczucie czasu i przestrzeni.

Piszesz też: „kiedy poznaje się najpierw poezję Jana Polkowskiego, później wiersze Zbigniewa Macheja, Marcina Świetlickiego i Roberta Tekielego, rodzi się wrażenie, iż poeci, którzy przyszedli po autorze »Drzew«, w dużej mierze ograniczają perspektywę, otwierane przez jego twórczość”. Jeżeli chodzi o mnie, to jest to, oczywiście, nieporozumienie. Nie ograniczam żadnej perspektywy otwieranej przez twórczość Polkowskiego. Jeżeli zaś mówimy o wrażeniach przestrzennych, muszę Ci wyznać, że poezja Polkowskiego robi na mnie chwilami wrażenie zamkniętej i bardzo hermetycznej. Nie może tu być mowy o żadnej redukcji z mojej strony. Są to bowiem dwie różne przestrzenie (ciśnię mi się na papier porównanie Polkowskiego i mnie do dwóch prostych równoległych – ciekawe, czy przecinają się w nieskończoności? – ale nie chce mi się tej zabawy rozwijać). To tyle na temat stosunków czasowo-przestrzennych.

Następna sprawa. Piszesz, że „dykcja, wyobraźnia i światoodczucie Polkowskiego są pełniejsze” niż moje „widzenie świata”, w następnym zaś zdaniu twierdzisz, że moja poezja jest uboższa ponieważ „odcina się od etyki, od świata idei, etc.”. Słowo dykcja nie jest tu dla mnie całkiem jasne. Przypuszczam, że w tym przypadku używasz go podobnie jak ongiś Miłosz, czy też później Barańczak (w odniesieniu do Sommera). A więc chodzi ci o sposób mówienia. Jakże więc „dykcja” czyli sposób mówienia może być „pełniejsza” od „widzenia świata”? To są sprawy, których nie da się porównać. Pojęcie „wyobraźnia” jest dla mnie bardziej zrozumiałe, choć nie jestem pewien, czy rozumiemy je tak samo skoro według Ciebie wyobraźnia może być „pełniejsza”. Marianie, zastanów się, wyobraźnia nie może dotyczyć pustki lub pełni, ale zgodzę się, że można potocznie mówić o ubóstwie lub bogactwie wyobraźni. A „światoodczucie”? Co to właściwie w tym wypadku znaczy? To słowo pachnie fenomenologią i, przyznam się, nie mam do niego zaufania. Bardziej odpowiadają mi słowa „wrażliwość” i „empatia”. No, i znowu, co to właściwie znaczy, że „światoodczucie Polkowskiego” jest pełniejsze niż moje „widzenie świata”? Zresztą, to „widzenie świata” też nie jest dla mnie jasne i zrozumiałe. Czy tu chodzi o „dykcję”, „wyobraźnię” i „światoodczucie” jednocześnie? A może masz na myśli światopogląd? Nie umiem się w tym wszystkim wyznaczyć.

I dalej. Na jakiej podstawie twierdzisz, że odcinam się „od etyki, od świata idei, etc.”? Powołujesz się przy tym na mój szkic „Poeta jako metafizyczny uzurpator”, który jest interpretacją wiersza „Nie wysłany list do Adama Michnika” Ryszarda Krynickiego. Ten wiersz, a także szamanistyczno-mesjanistyczna koncepcja poezji autora *Niepodległych nicości* wzbudziły we mnie ongiś sprzeciw, co starałem się w swoim szkicu – później się okazało, że dość nieporadnie – wyrazić i uzasadnić. „Nie umiałem bezbronnych/ uchronić od cierpienia i śmierci./ Daremnie szukałem słów,/ które by wytrąciły siepaczom broń/ i otworzyły więzienia” – skarżył się w swoim wierszu Krynicki. „Gdybym był rzeczywiście poetą, winienem umieć zapobiec tej wojnie” – pisał w 1983 roku zdanie z sierpnia 1939 roku napisane przez nie podanego z nazwiska Niemca korespondującego z Eliasem Canettim. Ten wiersz zażenował mnie. Powinności poety określa przecież poezja a nie „poczucie odpowiedzialności za zło świata” czy też jakiś imperatyw etyczny. W swoim artykule sugerujesz, że odcinam się „od etyki”. Pragnę Cię zapewnić, że w swoich wierszach starałem się jedynie unikać moralizatorstwa. Co więcej, sugerujesz również, że odcinam się od świata idei, etc.”, czego już, doprawdy, nie chcę z powodu zażenowania skomentować. A tak szczerze mówiąc, wolę pozostać odcięty „od etyki, świata idei, etc.”, gdzie przebywa Polkowski.

Na koniec wracam jeszcze do tytułu a zarazem tematu Twojej pracy. „Polkowski, Machej, Świetlicki, Tekieli...” – sekwencja tych

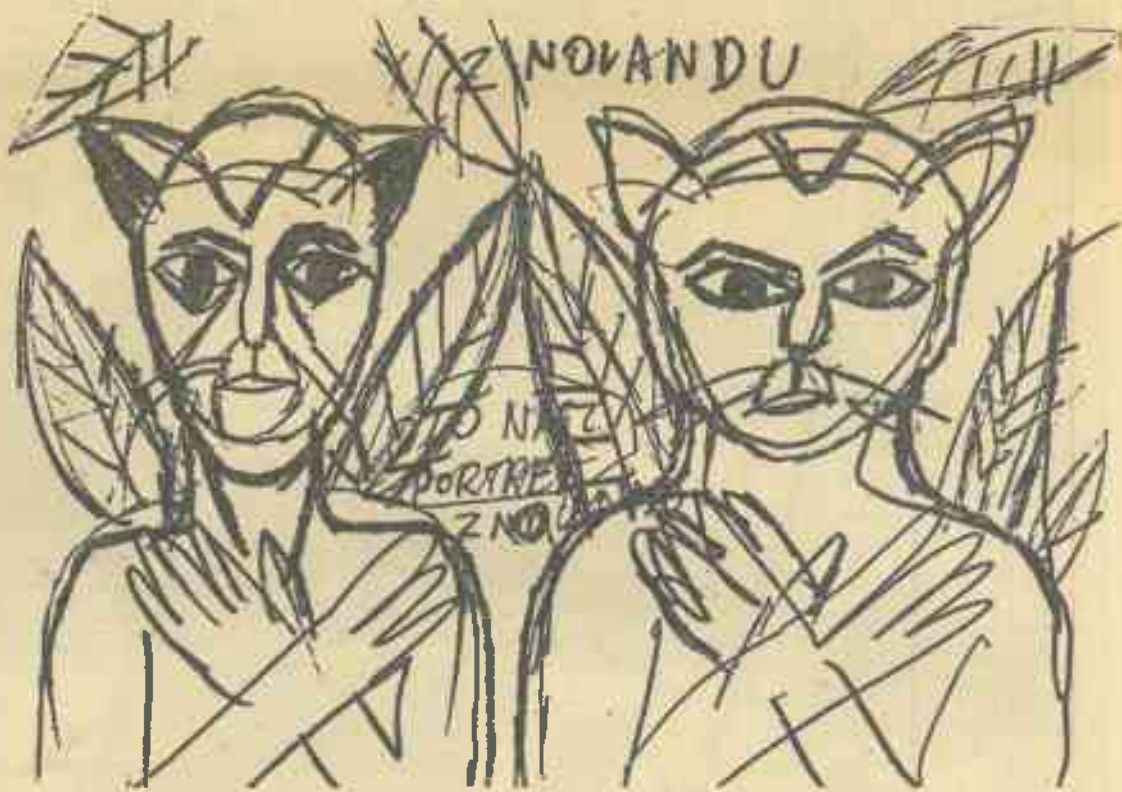
nie mogę pozostawić bez komentarza Twojego (...) artykułu” – powiada Zbigniew Machej. Nie mogę nie odpowiedzieć na Twój komentarz, Zbyszku, bo niewiele w nim z tego, co napisałem w „Tekstach”. Cały mój wywód kończy się w Twoim ujęciu na kilku ogólnych twierdzeniach, które – nie wiem czemu – odnosisz wyłącznie do siebie. Rozmawiajmy zatem...

2.

Zbigniew Machej sprzeciwia się gwałtownie zaliczeniu go do kręgu poetów, którzy przyszedli po Janie Polkowskim i dla których (według mego wyrażenia) twórczość autora *Drzew* stała się jednym z istotnych punktów odniesienia. Nie przyszedłem po Polkowskim, powtarza Machej uparcie, zjawilem się razem z nim. Rozumiem sprzeciw, ale argumenty, jakie autor *Śpiącej muzy* przeciwstawia memu domysłowi, brzmią dla mnie nieprzekonująco.

Machej sądzi, iż umieściłem jego twórczość po Polkowskim zasugerowany datami urodzin i książkowych debiutów. (Przypominam: Polkowski – rocznik 1953, debiut 1980; Machej – rocznik 1958, debiut 1984.) Nic podobnego. Chronologia była dla mnie ważna tylko w połączeniu z wartościowaniem, z hierarchizującym ujęciem zjawisk zachodzących w młodej poezji po roku 1980.

Debiut Polkowskiego był książką wybitną, wprowadzał w granice poezji osobowość twórczą w pełni skryształizowaną, bogatą, dobrze osadzoną w najbliższej tradycji. (Już wkrótce zapewniło mu to ważne miejsce nie tylko w obrębie młodej poezji; wspominałem o tym w szkicu „W środku rozmowy”.) Debiut Macheja, *Smakosze, kochankowie i płatni mordercy*, był tomem dobrym – dzisiaj widzę jego zalety lepiej niż wówczas – ale daleko mu było do rangi wydarzenia. Inaczej mówiąc: w mo-



RYSZARD GRZYB

nazwisk nie jest trafnie dobrana. Dla kogoś, kto się obracał w ciągu ostatnich kilku lat w kręgach „Arki”, „NaGłosu” i „brulionu”, nie ma w tym zestawieniu nic oryginalnego i świeżego. To jest właśnie perspektywa ograniczona, pozostawiająca „wrażenie redukcji”. Mnie przychodzą do głowy inne sekwencje np. „Łastik, Sommer, Cisło, Niemiec...” albo „Jastrun, Pawlak, Jurewicz, Budrewicz...” albo „Maj, Tarasiewicz, Baran (Marcin), Sendeci...” albo „Biculewicz, Świetlicki, Filas...” albo „Huelle (jako autor wierszy), Strzembosz, Koehler...”. Niektóre z tych sekwencji można potraktować z przymrużeniem oka, lecz możliwość ich tworzenia cieszy mnie bardzo. Przede wszystkim zaś cieszę się, że oto nadszedł wreszcie w Polsce czas normalności poezji. Oby tylko tej poezji towarzyszyli normalni krytycy i czytelnicy. Czego Tobie i sobie życzę

serdecznie Cię pozdrawiając –

**Zbigniew Machej**

Cieszyn, w lipcu 1990 roku

menie debiutu Macheja między nim i Polkowskim istniał spory dystans – nie czasu wydania książki, lecz jej wybitności. Wtedy, w 1984 roku, powiększały jeszcze ów dystans dwie kolejne książki Polkowskiego (z lat 1981 i 1983) i głosy krytyków, obiektywizujące jego pozycję. Dzisiaj, po londyńskiej edycji *Dwu zbiorów wierszy*, wspomniany dystans jest znacznie mniejszy, być może wkrótce mówienie o nim straci sens... W obrębie lat osiemdziesiątych jednak (o nich właśnie mówił mój szkic) Machej znajdował się po Polkowskim, a wyjaśnienia kiedy go przeczytał i co o nim myśli niewiele zmieniają. Miarą, punktem odniesienia są poeci wybitniejsi, oni wyznaczają horyzont problemowy poezji i mówienia o niej. Jest to niesprawiedliwe, oczywiście, któż jednak twierdzi, iż Republika Poetów jest państwem równości i sprawiedliwości.

3.

Zbigniew Machej proponuje mi jałową dyskusję o znaczeniach słów „dykcja”, „wyobraźnia” i „światoodczucie”, o to tylko, by przeciwstawić się sądowi, iż jedno widzenie świata (ten termin jest w moim wywodzie z „Tekst-



tów" nadrzędny wobec trzech poprzednich) może być porównane z innym. Machej nie zgadza się więc ze stwierdzeniem, że istnieją światy poetyckie bogate i ubogie, pełne i zredukowane... Wszystko to wygląda na retoryczne popisy, niewarte słowa komentarza.

Wiadomo, iż porównania bywają względne i jednostronne. Wiadomo, iż pomijają one najbardziej swoiste cechy porównywanych dzieł... Nie znaczy to jednak, iż nie mogą być przydatne dla opisu poezji, dla wydobycia istniejących w niej napięć i porządków. Dlaczego nie zestawiać dykcji z dykcją, wyobraźni z wyobraźnią, światoodczucia z światoodczuciem? Przede wszystkim zaś: dlaczego nie zestawiać pytań, jakie poeci stawiają sobie i światu? To właśnie repertuar tych pytań, tworzący problemowy horyzont dzieła, jest jednym z najistotniejszych kryteriów pełności poetyckiego świata... Polkowski stawia tych pytań więcej niż poeci, którzy przyszli po nim – stąd, między innymi, wrażenie pełności wpisano w jego poezję widzenia świata.

## Pozorne spory i rzeczywiste pytania

Przy okazji: przekonanie Macheja, że poezja jego i Polkowskiego to „dwie różne przestrzenie” jest nieco przesadzone. Zasadnicze kontury świata, wylaniające się z wierszy obu poetów nie są aż tak odmienne... Odmienność jest natomiast sposób myślenia o człowieku i o powinnościach poezji.

4. Zbigniew Machej powiada: „W swoim artykule sugerujesz, że odcinam się od etyki”. Niczego nie sugeruję, powtarzam tylko sądy zawarte w szkicu „Poeta jako metafizyczny uzurpator”, dodając od siebie, iż „w miejsce opcji aksjologicznej Machej proponuje swoistą opcję ontologiczną, poezję notującą-to-co-jest”. Resztę dopowiada Machej w swym liście do mnie, zapewniając, iż „Powinności poety określa (...) poezja, a nie > poczucie odpowiedzialności za zło świata < czy też jakiś imperatyw etyczny”. Trudno wypowiedzieć krócej sprzeciw wobec myślenia Krynickiego czy Polkowskiego... i zarazem potwierdzić kierunek analiz, zawartych w moim szkicu.

Machej powiada także: „Sugerujesz, że odcinam się > od świata idei <, czego już, do prawdy, nie chcę z powodu zażenowania komentować”. Z zażenowaniem odpowiadam: niczego takiego nie sugeruję. W moim szkicu znajduje się zdanie ogólne głoszące: „Poezja, w której metafizyczność łączy się z politycznością, a wiara w obiektywne wartości z konkretnym, egzystencjalnym doznaniem – zawsze będzie bogatsza od poezji odcinającej się od etyki, od świata idei, etc.” W zdaniu tym, jak łatwo zauważyć, nie pojawia się żadne nazwisko. Perspektywa całości pozwala natomiast domniemywać, iż słowa o poezji „odcinającej się od etyki” dotyczą także Macheja... Nie dotyczy to słów „od świata i idei, etc.” – one bowiem odnoszą się do Świetlickiego i Tekielego (mam nadzieję, że żadnego z nich nie zmartwi moje przekonanie, że ich wiersze nie służą ideom) – co łatwo zgadnąć, sięgnąwszy do tych fragmentów tekstu, które ich dotyczą. Nie jest moją winą to, że Machej odnosi wszystkie sądy ogólne do siebie. Nie musisz być zażenowany, Zbyszkule, to nie było o Tobie...

5. Przedmiotem szkicu „Polkowski, Machej, Świetlicki, Tekiele...” szkicu, który wywołał sporo rozbieżnych reakcji i stał się, jak widać, przyczyną sporu z jednym z jego bohaterów,

jest młoda poezja lat osiemdziesiątych, zobaczona przez pryzmat kilku współtworzących ją indywidualności.

Punkt wyjścia jest oczywisty, wskazywał go już przed chwilą, odpowiadając Machejowi. Powtórzę jednak jeszcze raz: jednym z najbardziej niewątpliwych początków i jedną z zasadniczych miar młodej poezji lat osiemdziesiątych jest debiut i dalsza twórczość Jana Polkowskiego. (O bardzo niewielu poetach, którzy wydali swe pierwsze książki na przełomie lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych dałoby się powiedzieć to samo. Z pełnym przekonaniem potrafiłbym to powtórzyć chyba tylko o Bronisławie Maju.) Stąd: debiuty lat osiemdziesiątych są w dużej mierze debiutami po Polkowskim w jego cieniu. Być może się mylę, dalej jednak sądzę, iż w kilku ostatnich latach nie pojawiła się debiutancka książka, która zaćmiłaby wrażenie z końca 1980 roku, a tym samym unieważniła gest zacytowania od Polkowskiego – który zresztą jako twórca dawno już przekroczył granice młodej poezji

i jej wewnętrznych problemów.

Czy punkt wyjścia oznacza, iż młoda poezja po Polkowskim jest zarazem poezją z ducha Polkowskiego? Do pewnego momentu mogło się wydawać, iż tak właśnie będzie, iż następcy autora *Drzew* będą w sporej mierze jego naśladowcami. Zwiąże i paradoksalnie powiedział to Jarosław Marek Rymkiewicz: „Polkowski i Maj poczynili w Krakowie – i gdzie indziej – straszne spustoszenie: niemal wszyscy chcą być do nich podobni.”

Stało się inaczej. Z perspektywy końca lat osiemdziesiątych istotniejsze, wyrazistsze, więcej obiecujące wydają się głosy tych, którzy nie poszli za Polkowskim, lecz bezpośrednio lub pośrednio przeciwstawili się mu. W moim szkicu pokazuję ten proces na przykładach (bardzo się od siebie wzajem różniących) poezji Zbigniewa Macheja, Marcina Świetlickiego i Roberta Tekielego. Rzecz jasna: nie chodzi tylko o tych poetów... Tym, co mnie interesuje jest pokazanie, jak w ciągu kilku lat unieważnieniu czy zapomnieniu zaczęły ulegać w poezji przesłania, które na początku dekady wydawały się bezsporne. Zwłaszcza: przesłania dotyczące etycznego horyzontu poezji...

Jak widać z tego autokomentarza, punkt dojścia wspomnianego szkicu różni się dość zasadniczo od punktu wyjścia. Odpowiada to podwójności mego zamierzenia: z jednej strony broniłem wybitności Polkowskiego, z drugiej – starałem się dotrzeć do intencji tych, którzy przyszli po nim, przeciwstawiając ich myśleniu autora *Drzew*. Jak się okazuje, chęć mediacji nie może liczyć na zrozumienie...

Przypominam to wszystko nie tylko ze względu na list Macheja. Młoda poezja kilku ostatnich lat pozostaje przestrzenią słabo rozpoznaną, pytania o sposób jej opisu i interpretacji są nadal istotne i nie rozstrzygnięte. Krytycy, będący rówieśnikami młodych poetów potrafią je z pewnością zadać lepiej i precyzyjniej ode mnie, należącego do pokolenia Maja i Polkowskiego.

Powiem więc tylko jedno: gdybym pisał swój szkic dzisiaj, zacząłbym inaczej. Zostawiłbym Polkowskiego i Macheja, bo młoda poezja nie jest już kontekstem dla ich twórczości. (I odwrotnie: inni poeci stanowią najbliższą pozytywną tradycję, między innymi Zagajewski i Sommer.) Nadal jednak mówiłbym o indywidualnościach raczej, niż o poetykach, w których niewiele naprawdę nowego. Wróciłbym do Świetlickiego, Koehlera, Tekielego, Sendecznego... może do kilku innych. To jednak zupełnie inna sprawa.

Marian Stala



JERZY PANEK

### Zbigniew Machej

\* \* \*

**Bo to jest tak: jesteś w ciąży i coraz bardziej czujesz się jak emeryt. Co prawda dziecko jest jeszcze dla ciebie abstrakcją, ale masz zupełnie inne poczucie czasu i przestrzeni niż kondycja ci na to pozwala. Na przykład za pięć minut masz autobus i normalnie w tym czasie dochodzisz stąd na przystanek dziesięć razy, a tu tymczasem nic z tego, nie zdążasz w tym normalnym czasie.**

**I to jest koszmar, czas się wydłuża, przestrzeń rozciąga, czujesz się jakbyś miała sześćdziesiąt, siedemdziesiąt lat. Potem dziecko się rodzi. To wielka ulga, bo już nie jesteś taka ciężka i zazwyczaj znikają problemy z chodzeniem. Nie dość, że już nie masz tego brzucha, to jeszcze masz wózek, którym się podpierasz, a jest to taki środek lokomocji jak samochód. Robisz wtedy nieprzytomne zakupy, bo wszystko można na nim powiesić. Po dwóch, trzech latach, kiedy dziecko już nie potrzebuje wózka, czujesz się jak bez ręki. Nie dość, że musisz targać ze sobą zakupy, to jeszcze ciągniesz dziecko. Ale są kobiety, które z tego potrafią wybrnąć i jak dziecko już nie potrzebuje wózka, zachodzą znowu w ciążę. I tak można w nieskończoność.**

**Gustaw Herling-Grudziński:** – Prosi mnie pan, panie Zdzisławie, o rozmowę. Wydaje mi się, że panuje teraz w Polsce inflacja rozmów i wywiadów, sprzyjając niebezpiecznie rozwojowi dziennikarskiego „życia ułatwionego”. Co do mnie, dałem już tych wywiadów tyle, że złapał się ostatnio na powtarzaniu rzeczy dawniej już powiedzianych, złożyłem w duchu ślubowanie całkowitej abstynencji. Łamię teraz to ślubowanie z dwóch powodów: mam wobec pana, jako świętego kuratora moich książek w kraju, dług wdzięczności; rozmowa przeczno-

wałem, z dużym zainteresowaniem. Niezależnie od tego (mam prawo i o tym wspomnieć) dostałem bardzo dużo listów z Polski od osób często zupełnie nieznanymi, właśnie po lekturze *Innego Świata*. Często też od moich starych kolegów, na przykład z wojska, którzy od wojny się do mnie nie odzywali. Jednego z nich bardzo lubiłem, mieszka w Jeleniej Górze, już emeryt, i nagle napisał. To też jest bardzo przyjemne. W każdym razie dosyć dużo listów; poza tym sporo wizyt osób przyjeżdżających do Włoch, czy zahaczających o Neapol, które po prostu

„Alfa”, które bez mojej wiedzy i bez pytania umieściło kilka rozdziałów *Innego Świata* w antologii *My, deportowani*. To samo zrobiło z książką Józefa Czapskiego. Jest to karygodne, ale to dalej trwa. Nie wiem czy „Alfa” istnieje, w każdym razie trwa tendencja zakładania małych wydawnictw, takich jętek-jednodniówek, które wydają dwie, trzy książki „chodliwe” i zwijają sklepik, nie pytając o to nikogo. Na przykład z recenzji mojego czwartego tomu *Dziennika* w „Gazecie Krakowskiej” dowiedziałem się, że oprócz wydania paryskiego ukaza-

pornograficznego, czy – należącego do tej kategorii. To są rzeczy naprawdę karygodne i z tym trzeba skończyć. Nie bardzo wiem jak. Jeżeli chodzi o Wydawnictwo „Kosmos” i o czwarty tom *Dziennika* to zwróciłem się z prośbą o opiekę do Stowarzyszenia Pisarzy Polskich, którego jestem członkiem. Czy oni coś potrafią zrobić, nie wiem. Zdaje się, że trzeba przede wszystkim zmienić ustawodawstwo w Polsce. Jak mi tłumaczono, obecne ustawodawstwo jest bardzo niekorzystne dla obrońców swoich praw. Zwracam na to uwagę i uważam, że powinno się z tym naprawdę skończyć. W końcu ten IV tom *Dziennika*, który wyszedł w „Kosmosie” nie tylko dubluje paryski, ale poprzedza jego wydanie krajowe. To się w jakiś sposób odbija na rynku czytelnicy. Kiedyś ten problem był zupełnie normalny i nikt z nas nie protestował. Gdy istniał naprawdę drugi obieg, wychodziły między innymi i moje książki a wydawcy często w ogóle nie pytali o zgodę. Choć to nieładnie, nie przysyłali nawet egzemplarzy autorskich. Mniejsza jednak o to, nikt z nas wtedy nie protestował. Uważaliśmy, że są wyjątkowe okoliczności i sprawiło nam radość, że te książki wychodzą. To się jednak skończyło. Książki wydawane są jawnie, więc nie ma powodu, żeby istniały pirackie obyczaje.

*Teraz o przyjemniejszej rzeczy. Pytanie banalne: jak Pan się czuje, jako autor zakazany jeszcze dwa lata temu, a teraz mający znaleźć się wśród autorów lektur szkolnych?*

– To jest po prostu ogromna satysfakcja. Wiem o tym, nawet dzisiaj mi o tym mówiono, że w nowym kanonie lektur szkolnych mają się znaleźć trzy moje książki. *Inny Świat* ma tam być zestawiony z opowiadaniem Tadeusza Borowskiego. Jestem z tego oczywiście bardzo zadowolony. W tym wszystkim jest jakiś paradoks, ale to w ogóle tkwi w duchu naszych czasów. Jerzy Stempowski przed laty prorokował, że historia ma już i będzie miała przyspieszony rytm. To się w tej chwili odbywa. Rzeczy, których oczekiwałem, zdarzają się tak szybko, że po prostu mnie czasem odurzają. Ale meritum tych zmian nie jest dla mnie dziwne. Zawsze głęboko wierzyłem, że dojdzie do czegoś podobnego, zarówno w Związku Sowieckim, jak w krajach wschodniej Europy. Nie wierzyłem tylko, że doczekam i sam to zobaczę.

*Czy mógłby Pan powiedzieć o wydaniach swoich utworów w innych językach?*

– *Inny Świat* miał bardzo dużo wydań w rozmaitych językach, nie będę ich wymieniał. Natomiast natrafił na przeszkody od pierwszej chwili we Francji, mimo że wydawca „Plon” przyjął go z rekomendacji Gabriela Marcela, potem się z tej umowy wycofał. Książka poszła później do Gallimarda gdzie bardzo pozytywnie zaopiniował ją Camus, a jakiś czas potem powiedział, że niestety ze względów – jak on to sam określił – podobno ekonomicznych, książka nie może się ukazać. Delikatnie, ale wyraźnie dał mi do zrozumienia, że po prostu natrafiła na jakieś opory wewnątrz wydawnictwa. To były te czasy, kiedy establishmenty kulturalne na Zachodzie, we Francji i szczególnie we Włoszech, gdzie mieszkam i mogłem to obserwować, były opanowane albo przez komunistów, albo przez sympatyków komunizmu. Trudno się było taką książką przebić. We Francji czekałem do 1985 roku, czyli niesłychanie długo, trzydzieści lat, na co zresztą zwrócili wszyscy krytycy uwagę, między innymi Bernard Pivot w swojej audycji w telewizji. Książka została dostrzeżona, miała doskonałe recenzje w wielkich piśmie i ładny nakład, rozeszło się dosyć dużo egzemplarzy, jak na tego typu książki i jak na Francję, w której tylko wielkie sensacje mają duże nakłady. Bardzo to dobrze wypadło.

# Dawni mistrzowie

rozmowa z Gustawem Herlingiem-Grudzińskim

na jest dla „Tygodnika Literackiego”, który przed powstaniem zaprosił mnie do udziału w tak zwanej Radzie Patronackiej.

**Zdzisław Kudelski:** – W marcu zeszłego roku „Przekrój” drukował rozmowę Józefa Opalskiego z Panem, która po trzynastym grudnia 1981 roku, nie mogła ukazać się w krakowskim miesięczniku „Pismo”. Dodano do niej kilka zdań Pana komentarza. Powiedział Pan wówczas z radością: „Doczekałem się!” Było to po wydaniu u Dominikanów Pana oficjalnego debiutu w kraju – tomu *Wieża* i inne opowiadania. Co zmieniło się od tamtego czasu?

– Zmieniło się bardzo dużo. Od debiutu w Wydawnictwie „W drodze” ukazał się *Inny Świat* w „Czytelniku” – bardzo duży nakład; *Dziennik pisany nocą* w „Res Publice”, dotąd wyszły dwa tomy; lada dzień powinien się ukazać w „Znaku” wybór esejów *Godzina cieni* w pana opracowaniu; trzeci tom *Dziennika* przygotowujący jest przez „Res Publicę”; nowe wydawnictwo „Tygodnika Literackiego” zamierza wydać tom czwarty *Dziennika* i rozszerzoną wersję *Upiórów rewolucji*, a Biblioteka „Więzi” – tom moich krótkich na ogół rzeczy o literaturze polskiej *Wyjścia z milczenia*. *Opowiadania zebrane* od dłuższego już czasu są zaakceptowane i przygotowywane przez wydawcę *Wieży* czyli Wydawnictwo „W drodze”. Po jego akceptacji przez wydawcę napisałem parę nowych rzeczy, więc nie będzie to już tom opowiadań zebranych.

*I na koniec książeczka którą Pan debiutował Żywi i umarli...*

– Tak, wydawnictwo lubelskie FIS proponuje mi wydanie mojego debiutanckiego tomiku, który wyszedł jeszcze w 1945 roku nakładem Biblioteki „Orla Białego” w Rzymie.

*Inny Świat mimo że trafił na rynek w okresie bardzo trudnym dla wydawnictw i czytelników, zniknął z księgarń bardzo szybko. Czy zdarzały się Panu ostatnio jakieś głosy od Jego czytelników?*

– Ma pan rację, że to był wyjątkowy okres, który decydował prawdopodobnie o niewielkiej stosunkowo liczbie recenzji, ale myślę, że fakt, że książka rozeszła się dosyć szybko w liczbie stu pięćdziesięciu tysięcy egzemplarzy, sam za siebie mówię. To jest ta jedna wielka recenzja pisana przez czytelników. Można tak śmiało powiedzieć. Oprócz tego były też recenzje i wzmianki bardzo przyjemne dla mnie, i pochlebne. Dowiaduję się teraz, że ostatnio była rozmowa w telewizji o *Innym Świecie*, w której brał pan udział. Więc książka została przyjęta tak, jak oczeki-

przynoszą mi egzemplarze *Innego Świata* z prośbą o podpisanie.

*Obecności w kraju towarzyszą też przykre strony. Jakie nadużycia towarzyszyły i towarzyszą wydaniu Innego Świata? Warto o tym powiedzieć.*

– Nie tylko warto, ale trzeba. Uważam że w kraju bierze się z kapitalizmu to, co najgorsze, to znaczy dzikie pola kapitalistycznych marginesów, w których można wszystko bezkarnie robić. Takim przykładem była historia z Wydawnictwem

to się też krakowskie, w Wydawnictwie „Kosmos” prawdopodobnie fotokopieczne. To jest po prostu piractwo. Do tego dorzuć drobiazg, ale dosyć charakterystyczny. Powstało podobno jakieś pismo pornograficzne, którego nazwy dobrze nie pamiętam, „Plajt Boy” czy coś takiego. Wiem tylko, że redaktorem pisma jest osławiony niegdyś Witold Filler, który po prostu wyjął z *Innego Świata* opis sceny gwałtu w obozie i w ten sposób czytelnikom zaprezentował mnie jako pisarza



MISTRZ ZWYCIĘSTWA ŚMIERCI, *Zwycięstwo Śmierci*, Piza, 1350

Uhonorowana też nagrodą Gutenberga...

- Ta nagroda wtedy została założona i pamiętam, że poszedłem przyjąć ją z Kotem Jeleńskim. Potem też dostałem nagrodę francuskiego PEN-Clubu.

W Dzienniku pisał Pan, że w recenzjach więcej uwagi poświęcono walorom artystycznym Innego Świata.

- Tak i to mi sprawiło wielką przyjemność. Zresztą jest to zupełnie zrozumiałe. Ta książka nie powinna być odegrać żadnej roli jako świadectwo, bo już tych świadectw było bardzo dużo, z Archipelagiem Gulag Solżenicyna na czele. Pamiętam, że ogromną satysfakcję sprawił mi artykuł w „Le Nouvel Observateur”, dużym tygodniku francuskim, napisany przez Claude'a Roya, bardzo wybitnego poetę, który przede wszystkim kładł nacisk na walory literackie Innego Świata. We Francji wyszedł później wybór z „Dziennika” u Gallimarda, wybór zrobiony przeze mnie i przez Kota Jeleńskiego, w przekładzie Teresy Dzieduszyckiej. Jak wszyscy zgodnie twierdzą, w przekładzie znakomitym. Również Dziennik miał bardzo dobre recenzje i zachęcony tym wydawca chce przygotować wybór moich opowiadań.

Sukces francuski odświeżył zainteresowanie w Anglii i Ameryce, wyszły tam nowe wydania Innego Świata. Jedno u mojego starego angielskiego wydawcy Heine Manna, w Ameryce w wydawnictwie kieszonkowym, i w Anglii również w takim tanim wydaniu prestiżowego wydawnictwa Oxford University Press. Z wielką satysfakcją muszę dodać, że również w Anglii wyszedł tom moich opowiadań, który był przedrukiem tomu wydanego niegdyś w Stanach Zjednoczonych. W Ameryce nie zrobił większego wrażenia, w Anglii zaś stał się właściwie dużym sukcesem. Recenzje były nawet żenująco pochlebne i myślę, że dzięki temu będę mógł teraz spóbować wyboru z Dziennika po angielsku. Na włoskie jego tłumaczenie podpisałem niedawno umowę z wydawnictwem Feltrinelli.

Wcześniej natomiast ukazały się po włosku w jednym tomiku dwa opowiadania: Wieża i Cud z ilustracjami Jana Lebszteina.

- Tak, w wydawnictwie, które mógłbym nazwać jubilerskim, niesłychanie eleganckim, specjalizującym się w takich, z ogromnym smakiem wydanych, tomikach - Vanni Scheiwiller w Mediolanie. Ale opowiadania moje ukazały się wcześniej we Włoszech u wydawcy Silwa w Genui, gdzie doradcą literackim był wtedy Aleksander Wat. Wcześniej wydałem też w Rzymie tomik o literaturze sowieckiej Od Gorkiego do Pasternaka.

Jaka jest Pana jako pisarza sytuacja we Włoszech, w kraju, w którym żyje Pan od trzydziestu pięciu lat?

- Kiedyś była bardzo przykra, nawet - straszna. Niedawno rozmawiałem o tym przez telefon z Czesławem Miłoszem i określiłem moją sytuację w tych latach przewagi komunistów, jako sytuację trędowatego. A Miłosz na to: - „A ja byłem trędowatym we Francji”. To jest prawda, tak było. Skończyło się z wiadomych powodów, ale były to bardzo ciężkie lata we Włoszech i dla Miłosza we Francji, zanim zdecydował się wyjechać do Stanów Zjednoczonych. Byliśmy ludźmi, których nie chce się słuchać, nie chce się widzieć. I było tak nie tylko w stosunku do mnie, czy Miłosza, ale w stosunku do pisarzy z Europy Wschodniej żyjących na Zachodzie. Najlepiej pod tym względem było w Anglii, Anglicy nie przywiązywali takiej wagi do tego skąd kto pochodzi i na przykład gdy ukazał się Inny Świat w 1951 roku po angielsku, to recenzje były znakomite. W Anglii to się odbywało inaczej.

Na zakończenie tego „przeglądu wydawniczego” proszę powiedzieć, co zmieniło się w krajach Europy Wschodniej.

- I tutaj się ruszyło. Trzeba nadmienić,

że Inny Świat wyszedł w Londynie, w wydawnictwie rosyjskim, w przekładzie poetki Natalii Gorbaniewskiej. Wydawnictwo „Progress” w Moskwie zgodziło się go opublikować w Związku Sowieckim, więc to jest rzecz zupełnie niebywała. Kiedyś liczyłem tylko na to, że moja książka będzie przemycana do Rosji w wydaniu londyńskim, ale nie liczyłem, że będzie w Moskwie wydana. Wiem, że jest już przełożona w Pradze przez tłumaczkę Elenę Stachową i jest też przetłumaczona na serbsko-chorwacki przez Petara Vujicića. Będą prawdopodobnie możliwości na Węgrzech, ale jeszcze za wcześ-

„Notatki niespiesznego przechodnia”. Nie chciałbym, żeby to zabrzmiało nieskromnie, w każdym razie wtedy zaproponowałem Giedroycowi, że zacznę drukować mój Dziennik, który w „Kulturze” ukazuje się do dziś.

Nad czym Pan ostatnio pracował?

- Jak pan wie, byłem dosyć poważnie chory przez dłuższy czas, więc rytm mojej pracy trochę osłabł. Oprócz paru bieżących dzienników, napisałem dwa nowe opowiadania. Jedno nazywa się „Dżuma w Neapolu”, a drugie ukaże się w październikowym numerze „Kultury” pod tytułem „Kiel Barabasza”. Słyszałem, że



MISTRZ ZWYCIĘSTWA ŚMIERCI, Zwycięstwo Śmierci, Piza, 1350

nie o tym mówić. W każdym razie i tutaj coś się zmieniło.

Dziennik pisany nocą publikowany jest regularnie od 1971 roku. W wydaniu książkowym dodał Pan fragmenty z lat 1969 - 1970. Na przykład w „Wiadomościach” londyńskich - „Podróże i lektura” czy cykl „Zapiski z lektury”; a później już w „Kulturze” - „Z zeszytu lektury”. Jak Pan kiedyś wyznał, dziennik prowadzi Pan od 1959 roku, a więc od zamieszkania w Neapolu. Czy czytelnicy poznają kiedyś zapisy niepublikowane?

- Na to pytanie nie potrafię odpowiedzieć. To są jakieś notatki, niektóre drukowałem, tylko w innej formie, na przykład w londyńskich „Wiadomościach” pod tytułem „Podróże i lektura”, czy cykl „Z zeszytu lektury”. Ale to wszystko razem było zaledwie przygotowaniem. Dziennik zdecydowałem się drukować w okresie, który mogę bardzo dokładnie określić. Jestem od wielu lat związany z paryską „Kulturą” i w pewnym momencie powstała w niej wielka luka. Umarł Gombrowicz i umarł Jerzy Stempowski, który prowadził stałą rubrykę

sporo osób, w kraju zwłaszcza, zainteresowało się opowiadaniem „Dżuma w Neapolu”, słusznie je traktując jako metaforę wprowadzenia stanu wojennego. Chciałbym jednak przy okazji powiedzieć, że dla autora są to w trakcie pisania często rzeczy zupełnie nieświadome. Wielu czytelników mi chyba uwierzy, że jak zacząłem pisać „Cud”, historię buntu Masaniella w XVII stuleciu w Neapolu, to właściwie dopiero gdzieś w połowie tego opowiadania uświadomiłem sobie, że istnieją ogromne analogie między tym, co opisuję, a tym co się działo w Polsce. Jest to opowiadanie aluzyjne, ale uświadomiłem to sobie właśnie w trakcie pisania. Chciałem, trzymając się bardzo ściśle opracowań, opisać historię Masaniella. Pamiętam, że miałem na biurku podstawowe dzieło o Masaniellum, napisane przez bardzo dobrego historyka włoskiego Schipa.

Ja sam kilkakrotnie zetknąłem się z opiniami, że opisując Masaniella - ludowego trybuna porywającego za sobą tłumy, którego władza deprawuje i doprowadza do obłędu - użył Pan fikcyjnej „dekoracji” dla historii całkiem współczesnej.

- Miałem okazję wysłuchać z taśmy wypowiedzi Adama Michnika na sesji lubelskiej i on tam wyraźnie kładł na to nacisk. Byłby bardzo zdziwiony, gdyby się dowiedział, że ja dopiero w trakcie opowiadania zauważyłem tę analogię. Ale niewątpliwie jest ona bardzo wyraźna. Nie chcę jej posuwać zbyt daleko, w każdym razie jest to opowiadanie, które daje do myślenia. Tak samo, jak sądzę, daje dużo do myślenia „Dżuma w Neapolu”.

W czerwcowym numerze „Kultury” zamieścił Pan esej „Caravaggio: światło i cień”. Przedrukował go później również „Tygodnik Literacki”. W wielu zapisach Dziennika dostrzec można, jak poprzez lektury, fascynacje obrazami i próby ich opisu, dojrzewała w Panu myśl, by ów esej napisać. Zauważyć w nim można stałą cechę Pana twórczości: łącząc cudze świadectwa, przekazy historyczne, poszlaki, niczym detektyw usiłuje Pan odgadnąć ukryte powiązania między nimi, rozpoznać ich sens, zrekonstruować choć mglisty zarys całości. Tak jest w wielu Pana opowiadaniach i chyba także w eseju o Caravaggio?

- Jest tak niewątpliwie, ma pan tu rację. O Caravaggio pisałem wielokrotnie w Dzienniku, to jest stara miłość do niego i dodam, że w pierwotnej koncepcji tom francuski mojego dziennika miał mieć na okładce właśnie reprodukcję z Caravaggio. Bardzo interesuje mnie malarstwo, chodzę dużo po wystawach, mieszkając we Włoszech mam wiele w tej dziedzinie ułatwień. Nie jestem zresztą jedyny. Nie mam zamiaru się porównywać, ale powołam się na przykład Zbigniewa Herberta, który jest poetą, a jednocześnie pisze bardzo piękne eseje o malarstwie. Choćby w tomie Barbarzyńca w ogrodzie czy przygotowywanej książki o malarstwie holenderskim. Ten szkic o Caravaggio jest w pewnym sensie detektywistyczny dlatego, że ukazuje rzecz, o której dotychczas historycy sztuki nie pisali: o prawdopodobieństwie pewnych związków Caravaggio z filozofią Giordano Bruno, heretyka spalonego na Campo di Fiori. Tego, o ile wiem, dotychczas nie poruszano w historii Caravaggio. Czynniki czystej formy detektywistycznej widać w mojej noweli kryminalnej „Siedem śmierci Maksyma Gorkiego”.

Chciałbym jednak zwrócić uwagę na inną rzecz. Opieram się na kronikach, na jakichś analogiach, zestawieniach w sposób świadomy literacko. Wydaje mi się, że stworzyłem nową formę pisarską. Najprawdopodobniej dlatego, że nie mam tak zwanej spontanicznej wyobraźni pisarskiej i muszę mieć coś, na czym mogę się oprzeć. Wychodząc od jakichś kronik, często wychodzę poza nie. Znajduję w tym wielkie upodobanie. Nie będę powtarzał banałów o „śmierci powieści”, bo okazuje się, że obwieszcza się ją co pewien czas, a potem po dwóch czy trzech latach ukazuje się jakaś znakomita powieść. Niewątpliwie proza jako taka przeżywa pewnego rodzaju kryzys, jest na rozdrożu. Dlatego myślę, że robię rzecz, którą kiedyś będą robić inni i jestem tutaj trochę prekursorem.

Czy poprzez wykorzystywanie w opowiadaniach kronik i cudzych wypowiedzi sprzed lat podejmuje Pan dialog z przeszłością, jako tą skarbnicą, z której wciąż czerpiemy?

- Niewątpliwie tak. Opisuję często wydarzenia z przeszłości. Czasem nawet bardzo odległe. Moje nowe opowiadanie „Kiel Barabasza” dzieje się w IX wieku i opiera się na konkretnym zapisie historycznym, a potem jest jego rozwinięciem. Pretekstem do jego napisania był rozdział ze słynnej Historii Rzymu w średniowieczu Gregorowiusa. Czuję się lepiej w ramach takiego materiału historycznego, bardzo mnie on inspiruje. Ale jest tylko punktem wyjścia. Jedyna rzecz,

dokończenie na s. 12

# Dawni mistrzowie

dokończenia ze s. 11

o której mógłbym powiedzieć, że jest stosunkowo wierna historycznie, to właśnie „Cud” o Masaniellim. Włoch czytający to opowiadanie znajdzie w nim rzeczywiście obrazy z historii Neapolu.

*Wydaje mi się, że dialog z przeszłością, z literacką tradycją, podejmuje Pan poprzez sposób pisania, styl, poprzez konstrukcję narratora i opis samych bohaterów.*

– Niewątpliwie tak. Jestem bardzo głęboko związany z dawną literaturą. Nowoczesna proza jest dla mnie nie do strawienia. Wielkimi mistrzami do naśladowania są dla mnie pisarze z zeszłego stulecia lub jeszcze dawniejsi. To, że staram się pisać bardzo powściągliwie, precyzyjnie, że nie pozwalam sobie na jakieś ekscesy pisarskie, niewątpliwie wiąże się z moim bardzo głębokim przywiązaniem do wielkich mistrzów prozy.

*Jednocześnie zaś prowadzi Pan pewną grę z czytelnikiem, tym uważniejszym i bardziej dociekliwym. W opisie wyprawy do Pragi Kafki czy w niektórych zapisach Dziennika które są zmysłem, stylizacją, jak w Kronikach włoskich Stendhala...*

– Panie Zdzisławie, powiedzmy sobie otwarcie: pisarstwo, które ma rzeczywiście jakiś walor, jest zawsze grą z czytelnikiem. Chodzi tylko o to, czy można do niej czytelnika zaprosić, czy daje się on do niej zaprosić. Nie tylko w przykładzie, który pan podał, bardzo jaszkrawym, również w innych mniejszych... Największą przyjemność może sprawić pisarzowi, jeśli czytelnik usłyszy sygnał, który autor świadomie dał, a nie jest pewien, czy zostanie usłyszany. To jest swego rodzaju gra. Na ogromną skalę uprawiał ją Gombrowicz. Wystarczy powiedzieć, że Jerzy Jarzębski książkę o Gombrowiczu zatytułował *Gra w Gombrowicza*. Muszę się tu przy okazji pochwalić, że jako jeden z pierwszych napisałem przed wojną, jeszcze w Polsce, szkic o świeżo wydanej *Ferdynandzie*. Chociaż dziś oceniam go jako rzecz bardzo skromną, zieloną jeszcze, to dumny jestem z tytułu „Zabawa w Ferdynandzie”.

*Dodajmy, że w formie aneksu zostanie on dołączony do zbioru Pana szkiców o literaturze polskiej.*

– Tak. W Bibliotece „Więzi”.

*Obserwuje Pan z dystansem to, co się w kraju dzieje. Jakie widzi Pan szanse i zagrożenia dla obecnych zmian?*

– Jestem bardzo zaniepokojony konfliktem prezydenckim, który wybuchł i nie wiadomo jak się skończy. W obecnej sytuacji jest to rzecz niepotrzebna, jesteśmy dopiero na dorobku, na początku. Ja sam opowiadam się za kandydaturą Mazowieckiego na prezydenta. Oddając wszystkie możliwe zasługi Wałęsie uważam, że na prezydenta on się nie nadaje i mówię to zupełnie otwarcie. Obawiam się, jak się to wszystko rozwinie. Sytuacja jest taka, jaka jest, gospodarczo bardzo trudna, więc przynajmniej maksymalna stabilizacja polityczna jest nam potrzebna. Uważam, że zaczęło się to od momentu, kiedy wybrano prezydentem generała Jaruzelskiego. To był błąd, podkreślałem to zresztą w ankiecie „Tygodnika Powszechnego” i w rozmowie z ekipą polskiej telewizji i powtarzam jeszcze raz. Dzisiaj łamią sobie politycy głowę, jak z tego wyjść. Istnieją w życiu narodu rzeczy, których nie wolno lekceważyć. Rozmawiałem często z tak zwanymi prostymi ludźmi, których widuję czasem we Włoszech. Uświadomiłem sobie, jak głęboką, nie zagojoną raną jest dla Polaków stan wojenny. Trudno jest wybrać prezydentem człowieka, który ten stan wojenny wprowadzał. Nie wchodzi w meritum, być może historia go usprawiedliwi. Faktem jest, że dla Polaków jest to bardzo bolesne. Być może, gdyby był wybrany inny prezydent, wtedy nie byłoby tych konfliktów dzisiaj. Są one w najwyższym stopniu niepokojące. Nasza sytuacja zależy w dużym stopniu od tego, czy Polska zrobi wrażenie kraju stabilnego czy nie. Wszystko, co przemawia przeciwko stabilności, stawia ją pod znakiem zapytania, szkodzi nam po prostu. Jeżeli liczymy, że będą nam pomagać, czy inwestować w Polsce, to ten czynnik jest niesłychanie ważny. Sądzę, że stała się rzecz niebezpieczna. Mam takie uczucie ostatnio, że Wałęsa gra już z nadmierną energią i pokazuje, że wojna wszystkich przeciwko wszystkim jest jego zasadą. Samo to określenie jest dla mnie nonsensem. Od momentu, w którym przestał istnieć partner okrągłego stołu – PZPR, powinny się zjawić konkretne opcje polityczne.

Tymczasem wszyscy postanowili wetknąć swoje głowy pod wielką czapę „Solidarności”. Nie ma tam miejsca dla wszystkich. Polska musi przejść proces tworzenia normalnych stronnictw i partii politycznych. Jaruzelski i generał Kiszczak (jeden zdaje się w „Polityce”, a drugi w „Tygodniku Powszechnym”) powtarzają formułę, że okrągły stół był owocem stanu wojennego... Ja tego nie przyjmuję i nie przyjmę. To jest bardzo wygodne dla tego, kto stan wojenny przeprowadzał, ale – nieprawdziwe. Musimy się przed taką formułą bronić.

*To w kraju. A sytuacja na zewnątrz, w dawnym bloku wschodnim?*

– Tego naprawdę nie wiemy, co się stanie w Związku Sowieckim. Niedawno czytałem artykuł w „Moskowskich Nowostiach” o możliwości przewrotu wojskowego i pisze się o tym w prasie często. Teraz wyszła broszurka Solżenicyna, która jest dzisiejszym odpowiednikiem jego listu do przywódców sowieckich sprzed siedemnastu lat. Zresztą bardzo interesująca broszurka, w której on odpisuje jedenaście republik, zwraca się z apelem tylko do Ukrainy i Białorusi, żeby nie zerwały łączności z Rosją. Ale to jest tylko apel. Cóż można mówić o takiej sytuacji, jak przewidywać? Jest jedna według mnie rzecz ważna i to nawet kiedyś podkreśliłem, że Gorbaczow nie jest już jedynym carem w Rosji, że istnieje w tej chwili przeciwwaga. Nie mówię o małych grupkach, jest ich mnóstwo, ale powiedzmy o takiej postaci jak Jelcyn, który tworzy pewnego rodzaju elementy pluralistyczne. To jest bardzo ważne, myślę, że Polacy powinni o tym ciągle pamiętać i nie wpatrywać się tylko w Gorbaczowa.

Inne kraje mają może łatwiejsze zadanie. W Polsce jest o wiele trudniej jakkolwiek Polska ma tu wielkie zasługi historyczne, bo zaczęła cały ten proces. Ciągłe jeszcze na Zachodzie dla Polaków jest bardzo dobra koniunktura, to podkreślam, ale musimy ją szybko wykorzystać, bo to są tutaj rzeczy niesłychanie zmienne. Mieszkając we Włoszech od trzydziestu pięciu lat po raz pierwszy od roku widzę tak ogromną sympatię i takie zainteresowanie Polską, którego nigdy nie było. Sądzę, że podobnie jest w innych krajach, ale to długo nie trwa i trzeba to wykorzystać. Jak, to już jest kwestia Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

*Na zakończenie pytanie o sytuację w polskiej kulturze.*

– Jestem też zaniepokojony. Przejście do normalnego funkcjonowania kultury, jak w krajach demokratycznych, wymaga po tych doświadczeniach, które w Polsce były pewnego czasu. Najpierw wszystkie instytucje, jak wydawnictwa, teatry, zespoły filmowe, muszą stanąć na nogach i państwo musi im pomóc. To wymaga czasu, według mnie kilku lat. Weźmy rzecz, którą najlepiej stosunkowo znam tzn. wydawnictwo. Byłem zawsze za tym, żeby istniały wydawnictwa prywatne, które płać nie za wydrukowane, ale za sprzedane egzemplarze i które nie mają rozrośniętych sztabów etatów. Wymaga to jednak przygotowań i tego nie można zrobić zaraz. Spotykam się z wypadkami, że poważni pisarze bąkają nie za cicho, że kiedyś było lepiej. To jest żenujące. Sytuacja jest katastrofalna, wychodzi mało książek, trudno dziś książkę wydać w Polsce, ich ceny są bardzo wysokie. Opowiadała mi w Neapolu pana żona, pani Dorota jak to chciała kupić jakąś książkę, ale zorientowała się, że jest to połowa opłaty za przedszkole córki i zrezygnowała. To wszystko musi być jakoś uładzone. Kultura polska niewątpliwie odegrała jakąś rolę w tym, co się stało i ma prawo oczekiwać pomocy ze strony państwa. To nie jest powrót do dawnych metod, ale poparcie tych inicjatyw, które muszą mieć oddech dłuższy, żeby zacząć je na inną modłę. To samo dotyczy zresztą teatru i kin. Jakkolwiek nie jestem ekonomistą rozumiem rygorystyczność planu Balcerowicza. Nie sądzę jednak, żeby wyłączenie na jakiś czas, na kilka lat z tego planu instytucji kulturalnych spowodowało jego katastrofę. W sytuacji, gdy trzeba bić na alarm, by ratować kulturę polską.

*Z radością można powiedzieć, że Pana książki są już dostępne w Polsce. Wiem, że różne osoby i instytucje zwracają się do Pana z zaproszeniem do przyjazdu do kraju. Kiedy to może nastąpić?*

– Rok temu miałem bardzo ciężki zawał. Wprawdzie jestem już po raz drugi w Paryżu, na miesiąc w Maisons-Laffitte, ale lekarz mój twierdzi słusznie, że co innego jest przyjechać tu, gdzie się pracuje, a co innego jest przyjechać do własnego kraju po pięćdziesięciu latach nieobecności. To jest ta strona czysto emocjonalna, która odgrywa pewną rolę z tzw. kardiologicznego punktu widzenia. Zaplanowałem jednak wyjazd w kwietniu lub maju przyszłego roku i lekarz uważa to za możliwe.

*Bardzo dziękuję za rozmowę i do zobaczenia w kraju.*

Maisons-Laffitte 28 IX 1990 roku

rozmowę w imieniu redakcji prowadził

**Zdzisław Kudelski**

**P**od datą 3 II 1979 roku Herling zanotował: „Mój ideał dziennika, niedościgniony, to prawda, nie ma jednak powodu by go nie wyznać. Przesuwa się w nim raz szybciej raz wolniej, raz na scenie raz w tle, «historia spuszczonego łańcucha», jak nasze czasy znakomicie określił Jerzy Stempowski. A w lewym dolnym rogu, wzorem niektórych malowideł renesansowych, miniatury i ledwie naszkicowany autoportret obserwatora i kronikarza”. Wyznanie Herlinga wywołuje przekorną pokusę „sprawdzenia”, czy pisarzowi udało się zamierzenie zrealizować.

Już pobieżna lektura pozwala dostrzec zasadniczą niekonsekwencję. Zakładając, że nie ma powodów wątpić w szczerść Autora, należy stwierdzić, iż Grudziński wybrał sobie wzór nieosiągalny, sprzeczny z własnym temperamentem pisarskim. Jego indywidualność od samego początku narzuca się czytelnikowi, widoczna zarówno w formule dziennika i stylu wypowiedzi, podejmowanych tematach i sposobie ich ujęcia.

## Kształt wypowiedzi

*Dziennik Grudzińskiego należy do odmiany dzienników intelektualnych pisanych z myślą o publikacji. Jest to niemal osobny gatunek piśmiennictwa autobiograficznego, który cechuje przenikanie elementów i otwartość. Dzięki nim w ramach diarystycznych zapisów (lub obok nich) mogą występować wspomnienia i dialogi, eseje i szkice, recenzje i felietony, wreszcie opowiadania lub ich zarysy. Wbrew sporom o przynależność do tak zwanej „literatury pięknej”, dzienniki te są często wybitnymi utworami literackimi, pisanyymi z wyraźnym zamysłem artystycznym, ze szczególną dbałością o sztukę słowa.*

Michał Głowiński w swoim już niemal klasycznym szkicu „Powieść a dziennik intymny” stwierdzał za Alain Girardem, że dziennik intymny nie jest dziełem, nie stanowi bowiem całości zorganizowanej według pewnych z góry przyjętych zasad; tworzące go zapisy są bezpośrednią ekspresją autora, którym kieruje jedynie kaprys. „Nieobecność wyboru wydaje się jego prawem”. Pisanie dziennika intymnego nie prowadzi do stworzenia całości, a rządząca nim chronologia tworzy porządek ściśle mechaniczny, w którym nie obowiązuje żadna konsekwencja.

W omawianym typie dzienników jest nieco inaczej. Bywa, że ich autorzy sami sobie narzucają pewne reguły, których konsekwentnie przestrzegają. Pośród absorbujących ich zdarzeń i zjawisk dokonują wyboru, stąd dominacja kilku lub jednego tematu. Kolejne zapisy mogą łączyć się z następnymi, stanowiąc ich rozwinięcie i dopełnienie, w wyniku czego powstają poprzepłatane ze sobą ciągi tematyczne.

Głowiński pisze, że dziennikowi intymnemu jest niedostępny „sens globalny wypowiedzi”, właściwy dla powieści. Należy zgodzić się, że również w omawianej odmianie nie można stworzyć świata analogicznego do zamkniętego świata utworów powieściowych. Jest jednak inna możliwość. Osobowość piszącego może być tak silna i skrytyczowana, że będzie odciskać piętno na pozornie luźnych notatkach. Wyznawana hierarchia wartości podsuwać będzie dobór tematów, sposób ich ujęcia, zmuszać do drążenia problemów uznanych za istotne, a eliminacji innych. Dziennik nie jest wówczas „przypadkowym nizaniem na nitkę czasu kolejno napływających zdarzeń, myśli i nastrojów”, lecz stanowi sprężystą, wewnętrznie jednolitą całość” (Maria Jasińska). Tak właśnie jest w przypadku *Dziennika pisanego nocą*.

Jeśliby przyjąć za Małgorzatą Czermińską, że ekstrawertyzm i introwertyzm to dwa skrajne bieguny postawy autobiograficznej, w literaturze polskiej chyba właśnie *Dziennik Herlinga* wyznacza pierwszy biegun, a *Dziennik Gombrowicza* jego przeciwieństwo.

Skupiając uwagę przede wszystkim na zdarzeniach dotyczących świata zewnętrznego Herling – świadek, obserwator, zdaje się nawiązywać do dziennika w jego postaci archaicznej, jako bezosobowej kroniki zdarzeń (określenia Zdzisława Łapińskiego). Autor, jakby wbrew wyróżnikom gatunkowym wycisza emocje, całkowicie usuwa sferę swojego życia osobistego, unika pułapek intymności. W którymś miejscu tak o tym pisze:

„Nie lubię (...) dzienników zbyt osobistych. Prawie zawsze narzucają autorom reguły gry nad którymi stopniowo, krok po kroku, zaczyna panować przyszły czytelnik. (...) W człowieku istnieje i powinna istnieć strefa, gdzie nikt prócz Boga nie potrafi i nie ma prawa go dosięgnąć. Paradoksalnie, dziennik dobry, czy w każdym razie wart czytania, jest ten w którym pisarz wysuwa tylko co pewien czas czułki ze skorupy. I natychmiast je chowa. Kiedy wylazi ze skorupy cały staje się całkowicie bezbronny, mówiony przez innych.” (11 VIII 1974).

Truizmem jest już dzisiaj twierdzić, że losy Herlinga

wpłynęły na jego sposób pisania. Wydarzenia po 1939 roku – klęska wrześniowa, konspiracja, więzienia i obóz w ZSRR, kampania włoska i Monte Cassino, podział Europy i wybór emigracji politycznej – wszystko to przerosło poprzednie doświadczenia Grudzińskiego. Po wojnie z pewnością musiał, jak i wielu innych pisarzy, zadawać sobie pytanie, czy można po Oświęcimiu i Kolumbie zajmować się „literaturą piękną”. Jakimi środkami operować, by przedrzeć się przez „dymną zasłonę fikcji”, jak znaleźć „język dokładny, rzeczowy, jasny, przylegający dokładnie do naszych doświadczeń” (Jerzy Stempowski).

Recenzując utwory dotyczące lat wojny i okupacji

Zdzisław Kudelski

# Czy pisarska porażka?

## O Dzienniku pisanym nocą Gustawa Herlinga-Grudzińskiego (1)

i opracowując antologię *W oczach pisarzy* (Rzym 1947) Herling często podkreślał bezradność literatury wobec wyjątkowości nowych przeżyć. W *Dzienniku* wielokrotnie powracał później do tego problemu: „Jak opisywać piekło zagłady? Tak by słowa były tym cięższe, im jest ich mniej; by rozbrzmiewały tym donośniej, im spokojniej są wypowiedzane; by zdaniom udzielał się zimny odblask pożogi w oczach opowiadającego; by w jego równym i niemal obojętnym głosie wyczuwało się napiętą do ostateczności strunę; by przewracane stronicie były w rękach czytelnika niby płyty kamienne z wyrytymi napisami, odwalane na bezimiennych i zbiorowych grobach” (23 II 1978).

Również truizmem jest dzisiaj twierdzenie, że w *Dzienniku roku zarazy* Daniela Defoe odnalazł pisarz to, o czym sam był przekonany: że „kluczem narracyjnym” przy opisach kataklizmów jest świadome wyrzeczenie się wszelkich ozdóbek, ekspresji, wzniosłości, na rzecz dystansu i niemal całkowitego wyciszenia emocji. Przemyslenia te zaowocowały przy pisaniu *Innego Świata* (Londyn 1953) i utworów następnych, łączyły się również z odkryciem „jak mało, straszliwie mało, można powiedzieć w słowach!” (8 IV 1976).

Dziennikowe zapisy są często skondensowane do najistotniejszego problemu. Herling pisze oszczędnie, oczyszcza zdania ze wszystkiego, co zbędne, a ich lapidarność graniczy nieraz z suchością. Autor usiłuje z dystansem opisywać fakty, często przywołuje i komentuje wypowiedzi innych, dąży do obiektywizmu. Ale w takim sposobie pisania G.H.G. jest bardzo subiektywny, w jego utworach wszystko „podporządkowane jest pasji człowieka o wielkiej wrażliwości moralnej i metafizycznej”. Doborem tematów i formą ich zapisu rządzi coś w rodzaju „aksjologicznego ja” Autora, które zmusza do selekcji utrwalonych wydarzeń i eksponowania szczególnie ważnych. Herling nie wdaje się w długie, analityczne rozważania. Jego styl „nie ogranicza się (...) tylko do samego wykorzystywania środków językowych, do technicznego poszukiwania efektów: staje się (...) »autoreferencyjny«, chce odsyłać do »wewnętrznej« prawdy pisarza”. (Jean Starobinski) Jest świadomie wybranym narzędziem przy pomocy którego, posługując się ironią, sarkazmem, niedomówieniem, myślowym skrótem Grudziński usiłuje docierać do tego, co według niego najistotniejsze. Owo docieranie do „istoty rzeczy” odbywa się poprzez odniesienie wszelkich obserwowanych spraw i zdarzeń do osobistego kodeksu moralnego (wyrastającego z etyki chrześcijańskiej) i wynikających z niego powinności.

Szukaniu obiektywnej miary wydarzeń towarzyszy wyraźnie subiektywne zaangażowanie „ja” wartościującego pisarza. Ono sprawia, że Grudziński często „zapomina” o tłumieniu emocji i stwarzaniu iluzorycznego dystansu. Uznając swoją rację za słuszną, gotów jest bronić jej z determinacją, bezlitośnie wykazując fałsz czy pułapki myślowe adwersarzy. Każda jego ocena, wybór tematów i sposób ich opisu – wszystko to jest znaczące i tworzy układ niepowtarzalny.

Herlingowi udaje się zbliżyć do wybranego ideału dziennika poprzez dobór środków stylistycznych. Zwięzłość, wyciszenie ekspresji i sfery spraw osobistych zdają się ledwie szkicować „autoportret obserwatora i kronikarza”. A jednocześnie selekcja utrwalonych zdarzeń

jest wyrazista, dokonywana w imię pewnej racji subiektywnej, zaangażowanie piszącego przekreśla wysiłek związany z dążeniem do obiektywizmu, zaś nieliczne okrucy wspomnień działają na czytelnika ze szczególną siłą.

Tworzy to rodzaj obecnego w całym *Dzienniku* twórczego napięcia. Od początku lektury czytający jest świadkiem zmagania się Autora z wybranymi przezeń elementami sztuki pisarskiej.

### „Historia spuszczonej z łańcucha”

Pisząc o „historii spuszczonej z łańcucha”, Grudziński wyczułony jest szczególnie na groźby totalitaryzmu,

postawy elit intelektualnych i świadectwa tych nielicznych męczenników, którzy ostrzegają przed obłędem współczesności. Wątków tematycznych można wyróżnić w *Dzienniku* więcej, lecz te wydają mi się szczególnie istotne.

Pisarz przez wiele lat interesował się powinowactwami faszyzmu i komunizmu, w obydwu dostrzegał obecność trzech głównych elementów totalitaryzmu: „technologii władzy”, „inżynierii społecznej” oraz najważniejszego i decydującego – „stworzenia nowego człowieka” (21 II 1979). Te trzy składniki, a zwłaszcza postulat ostatni, wynikał z przekonania ideologów o „bezgranicznej plastyczności natury ludzkiej” (17 I 1972) i możliwości jej dowolnego kształtowania. Pogląd taki – jedna z nihilistycznych konsekwencji determinizmu historycznego i moralnego relatywizmu – zdaniem Herlinga godzi w istotę człowieczeństwa.

Główny trzon tematyczny *Dziennika* dotyczy ZSRR i komunizmu. Jest to dla Grudzińskiego problem zasadniczy, podejmowany od niemal samego początku twórczości. Ponad dwuletni, przymusowy pobyt Grudzińskiego w ZSRR, tułaczka po więzieniach, praca w obozie w Jerciewie, życie w upodleniu, na poziomie egzystencji biologicznej, sprowadzone do zwierzęcych odruchów, wszystko to dało mu wgląd w istotę systemu odartego z ideologii. Stalinizm i radzieckie lagry przez wiele lat były sprawą centralną dla świadectwa Grudzińskiego. Stosunek do nich Zachodu, przemilczenia i kłamstwa były dlań alarmującym dowodem spustoszeń w kulturze i relatywizmu moralnego.

Wiedząc, że „największy przywilej pisarza emigracyjnego – jak to określił w 1951 roku – tkwi w jego prawie do pisania całej prawdy z całą siłą wyrazu artystycznego na jaką go stać”, Herling poruszał i porusza sprawy niewygodne i bolesne, bez zgody na kompromisy i niedomówienia. Lecz od razu trzeba dodać, iż próżno by szukać w *Dzienniku* i w innych utworach pisarza nienawiści do Rosjan. Jest zaś sprzeciw wobec totalitaryzmów w każdej, nie tylko komunistycznej wersji, totalitaryzmów będących śmiertelnym zagrożeniem dla człowieka. Pisarz pamięta co uczyniono z nim i z jego współbraćmi z odrutowanej zony i z tej pamięci wypływa jego sprzeciw i krzyk ostrzeżenia, a nie przekleństwa.

Autor *Dziennika*, aczkolwiek nieufny wobec wszelkich autorytetów, z uwagą śledzi wypowiedzi filozofów i humanistów. Zdaniem G.H.G. na nich spoczywa odpowiedzialność za świat współczesny, świat „przeklętego wieku ideologii”. Interesuje się propozycjami rozwiązań utopijnych, być może imponujących w stadium projektów, lecz nie liczących się z praktyką życia, „nie na miarę ułomnego człowieka” (24 IX 1972). Zna cenę takich przedsięwzięć. W jego indagacjach można dostrzec trudne próby przeniknięcia zagadki, jak mogło dojść do powstania „cywilizacji więziennej”.

Obserwując poczynania starej i nowej lewicy na Zachodzie, reakcje Sartre’a na obozy stalinowskie, czy Jana Kotta (tuż po wojnie) na zbrodnię katyńską pisarz zauważa w nich „przekleństwo heglowskiego uganiania się za »wcielonym duchem Historii«” (16 XI 1971).

Przy opisach tego typu świadectw padają zazwyczaj dosadne określenia: **niedowład wyobraźni, moralny kre-**

**tyzm, imbecyle** (1 VIII 1976; 16 XI 1971). W pewnym miejscu, omawiając reakcje na dwudziestą rocznicę śmierci Stalina, stwierdzi: „nie zna granic głupota »postępowych intelektualistów«” (18 III 1973). Na innej zaś stronie napisze o przedstawicielach starej i nowej lewicy, że „do orgazmu doprowadza [ich] nazwisko Angeli Davis, a o atak ziewania przyprawiają procesy w Pradze lub Warszawie” (25 VII 1972).

Różnica optyk, Herlinga-personalisty i myślicieli oduurzonych „opium historyzmu”, jest ogromna i wynika z odmiennego, wykluczającego się wzajemnie pojmowania człowieka i historii. Determinizm tak zwanych obiektywnych mechanizmów dziejowych, jest według Herlinga „nieczystą” ideą stawiającą na piedestale Historię, dla której poszczególne ludzie są – jak sam to określił – „bezkształtną kupą gnoju”. Dla Grudzińskiego (podobnie jak dla Conrada, Camusa czy Chiaromonte) przeciwnie, podmiotem historii jest jednostka. Interesuje go „konkretny człowiek w obliczu konkretnych wydarzeń, po tołstojowsku zdolny do sądu etycznego i równocześnie świadomy czegoś poza nim nieprzeniknionego”. (19 I 1972). Tyleż samo uwagi poświęca życiu intelektualnemu za Zachodzie, co sytuacji po drugiej stronie Łaby. Sprawy polskie odgrywają tu znaczną rolę, choć Grudziński opisuje je z dystansem zwodzącym czytelnika. Nie bez generalizacji i przerysowań Herling z ułamkowych fragmentów szkicuje panoramę polskiego życia intelektualnego lat siedemdziesiątych, w których dominuje bezlitośnie opisane serwilizm, bezmyślność i demoralizacja. Śledzi jednocześnie z sympatią narodziły się opozycji demokratycznej, KORu i „Solidarności”.

Wobec wciąż narastających zagrożeń, wielkiej wagi nabierają zdaniem pisarza, poczynania tych nielicznych, którzy „znają wartość postawy wyprostowanej”. Od razu nasuwają się na myśl (mimo ogromnych różnic) postacie Solżenicyna, Nadeжды Mandelsztam, Szalamowa czy Sacharowa i Bukowskiego. Ale nie tylko. Obok nich Autor przywołuje sylwetki Chiaromonte, Camusa, Orwella, pamiętając zdanie Silonego: „To nieprawda, że siła duchowa przetrwała dziś tylko na Wschodzie” (28 VIII 1978).

Już wkrótce nakładem  
działającej przy TYGODNIKU LITERACKIM  
Oficyny Wydawniczej PLEJADA  
ukaze się

*Dziennik pisany nocą 1984-1988*  
GUSTAWA HERLINGA-GRUDZIŃSKIEGO

Pierwsze wydanie ukazało się  
w Instytucie Literackim w Paryżu w 1989.  
Pierwsze wydanie krajowe  
(w dwóch woluminach)  
proponuje Państwu PLEJADA

Gustaw  
Herling-  
Grudziński

Plejada

*Dziennik  
pisany nocą*

1984-1988

TYGODNIK  
LITERACKI 13

# książki

## Camilo José Cela Cristo versus Arizona

Nowela



CAMILO JOSÉ CELA,  
*Cristo versus Arizona*,  
Barcelona 1988

Co bylibyśmy skłonni uważać dziś za arcydzieło? Powieść, która nas wzrusza do łez, czy też bawi do rozpuku? Rzuca na kolana czy raczej dodaje skrzydeł? A może wszystko to jednocześnie, bo łatwiej wtedy uwierzylibyśmy, że wyjawia – jak chcą racjonałści – to, czego nie rozumiemy, to co istotne i banalne, straszne i przyjemne zarazem.

Co z tego znajduję w najnowszej powieści Camila José Celi, którą wydawca zachwala jako „arcydzieło prozy hiszpańskojęzycznej wszystkich czasów”? Zmusić się do lektury arcydzieła to rzecz niełatwa. Długo czytałem tę książkę – *Cristo versus Arizona*, Barcelona 1988 – szukając w niej wciąż trzeciego dna, a jeszcze dłużej zabierałem się do napisania o niej paru słów. Zwątpiłem właściwie w sens obu tych czynności: dziwna moc tej nie tak przecież wielkiej niby-powieści. Taką siłę mają wszystkie rzeczy niejasne; umysławiają nam nasze ograniczenia, przywracają wyobrażeniom wymiar powszedni. Ta sama reguła rzadzi happeningiem i niejasną książką: są jak gradobicie i nie podlegają (właściwie) ocenom. Może dlatego rzeczom niejasnym przyglądam się dokładniej. Uważnij też patrzeć na to, czego nie lubię. Może się mylę? Może dają się zwozić własnym przesądom?

Krytyk, który sporządził reklamową notę na okładkę tej książki, mówi o brutalnej sile i pierwotnych instynktach rządzących opisanym w niej światem, wiedząc jednak, że nie jest to dziś wyróżnik zbyt oryginalny, dodaje natychmiast, iż owa niezwykła barbarzyńskość rodzi też niezwykłego ducha poezji. Od przemocy do słów, od słów do przemocy. Jesteśmy w krainie przedziwnej, opisaną jednym zdaniem, które dłuży się przez blisko dwieście pięćdziesiąt stron: amerykański stan Arizona przed stu laty, miasteczko Tombstone (Nagrobek).

Ten sam narrator, który w (o)powieści „Rodzina Pascuala Duarte” tak mało rozumiał ze świata i tak szorstko tłumaczył się z własnych zbrodni, tu, w Tombstone, równie chropowato, dukając i powtarzając się, opowiada własną historię. Powieści to dzieli pół wieku; w tym czasie ich autor stał się laureatem Literackiej Nagrody Nobla a krytycy jednomyślnie uznali go za mistrza hiszpańszczyzny, za tego, który przejął pióro po Cervantesie, a przecież niewiele się właściwie zmieniło. Tam, w powieści pierwszej, był niby to odnaleziony rękopis, tu rękopis pisany przez nierozgarniętego Wendella Espanę alias Spana lub Aspna. Dla czytelnika doświadczonego będzie to nowa

zabawa starymi figurami, dla mniej wprawionego – podróż do południowych stanów USA, na amerykańsko-meksykańskie pogranicze, w lata 1880–1920; podróż z całym sztafżem historii (Indianie, kowboje) i niezłożonej, choć logicznej filozofii z jej naturalistycznym fundamentem, zacierającym granicę między życiem i śmiercią, człowiekiem i zwierzęciem. Banalizując jedno (śmierć), desakralizuje się drugie (życie), całą tę ubogą scenę na której objawiają się tajemnice ostatnie: puste drogi, drzewa, na których wieszają się ludzie, domy, gdzie dokonuje się gwałtów. Śmierć jest tu żywiołem piątym.

Południe odsłania się pokrętnie i nigdy do końca. Wszystko tu jest oczywiste a jakby niezupełnie jasne. Stary oksymoron: dopiero po ujawnieniu wszystkiego stajemy przed prawdziwą tajemnicą. Postacie tej szczególnej opowieści tłoczą się kornie przed konfesjonalnym pisarzem i niczego nie ukrywają, ale im więcej mówią, tym bardziej mroczny staje się ich świat. Nic się tu nie dzieje, nic co miałyby coś więcej niż tylko brudny początek i brudny koniec; o tym właśnie opowiada się, świat budowany jest z doraźnych emocji i sądów. Murzyny cuchną tu rybą, Indianie bizonami, Chińczycy tapioką, a za białymi snuje się trupi odór. Każdy tu spółkuje i każdy umiera, bywa, że zdarza się to jednocześnie. Jedno zdanie jak jedna spiralna linia łączy okrucieństwa wydarzeń; punktem wyjścia jest proste wyznanie: „Nazywam się Wendell Espana...” Powraca ona raz po raz w coraz to nowym kontekście, coraz bardziej rozbudowane, wynosząc nas coraz

## Rajmund Kalicki

# Chrystus przeciw Arizonie

wyżej ponad horyzont nikłych zdarzeń a kiedy oczekujemy już puenty, nic się nie dopełnia. Zgubiliśmy sens gdzieś po drodze?

Tytułowy Chrystus pojawia się pod koniec tego mrocznego monologu, w kontekście równie niejasnym: „Chrystus jest Bogiem i nie można go poprawiać” a dalej „Chrystus jest jednak Bogiem, jasno mówi to katechizm i nie pojmiemy więcej niż jest w katechizmie; Chrystus jedzie do Arizony i gdzie tylko zechce...”. Potem wyjaśnia się, że jedzie, aby zwalczać zło, bo: „każdy myśli, że tutaj nikt nie jest przeciw nikomu, a to nieprawda, tutaj wszyscy jesteśmy przeciw wszystkim”.

Ta myśl, wyrażona już kiedyś przez Hobbesa, jest zrębem całej twórczości Celi. Nie wiem, na ile uznał ją za własną, w każdym razie rozumiał ją wcześniej, gdy zbyt gwałtownie naklaniano młodego Celę ku dobremu. Trzy razy usuwano go ze szkoły za krnąbrność, nigdzie nie mógł zagrać miejsca aż w końcu rodzice musieli zatrudnić guwernera. Był surowy i nosił sutannę, więc Cela powtarza dziś: „nabawiłem się takiego uczulenia, że ilekroć widzę kłechę, przechodzę na drugą stronę chodnika”. Nie przeszkodziło to katolickiemu królowi Juanowi Carlosowi obdarzyć Celę godnością *Cartero real*, „królewskiego listonosza”. Pisarz jest z tego tytułu bardzo dumny.

Inne znane powiedzenie Celi – „Za sto lat – wszyscy tyśi” – przypomina, że czas to lichy partner do zabawy. W powieści brzmi to tak: „Wszyscy musimy umrzeć któregoś dnia, to pewne, nie wiadomo tylko, w jakiej pozycji, na stojąco czy leżąc; śmierć nie dopada nas, kiedy widzimy, że nadchodzi i patrzmy jej prosto w twarz, wtedy zawstydzają się i oddala, ale gdy człowiek przyryka oczy, śmierć wykorytuje to i wciąga go w potrzask”.

Ale w innym miejscu jest mniej patetycznie: „Indianin Flor Aravaca mówi, że całe to umieranie jest nudne i oklepane, zawsze to samo, ludziska umierają i nikt sobie z tego nic

nie robi, pamięta się tylko tych, których wieszano, ale też nie na długo; w miejscach, do których dobierali się mężczyźni, dziś łąką robaki, tak jest z umarłymi kobietami, z trupami kobiet, a to czym się kobiety bawiły, co ścisnęły i pieściły, pożera teraz robactwo, tak jest ze zmarłymi mężczyznami...” Ktoś dopowiada: „najlepiej byłoby naszych zmarłych zjadać”.

Tremendyzm raz jeszcze; dlaczego? W tym ponurym świecie ludzie żyją tak jak ów Paul (jedna z setek mglistych postaci pojawiających się i zaraz znikających), który zwierza się z dumą: „oddaję żonę połowę swoich zarobków i prowadzę się jak należy, moja baba ma dziewięć dzieci, żadnego nie wyrzuciła z domu, wszystkie są nie moje, najstarszy skończył dziewiętnaście lat i właśnie wyszedł z więzienia”. Oto nowa wersja myśli Hobbesa: *w s z y c y z e w s z y t k i m i*.

Cela nie byłby sobą, gdyby jednej z postaci nie kazał też powiedzieć: „szacunek zabrania mi dolewać święconej wody do whisky, chyba że zachodzi konieczność”. Jest to mniej obrazoburcze niż można by sądzić: alkoholem zmieszany ze święconą wodą leczono wówczas w Arizonie chorych na febrę.

W Tombstone zawsze chorowano i zawsze umierano, i na przekór wszystkiemu zawsze dobrze się bawiono. Kapral Steven zadawał się bez umiaru z czarnoskórą Euphemią: „dociskał ją do szafy lub czegoś bądź i folgowali sobie, głośno pokwikujać, czasami zamiast kutasa albo po kutasie wkładał jej lufę rewolwera, jest trochę chłodna, zaraz ją ogrzejesz,

na figurę dobrze już znamy; to *Deus sive natura*, Bóg czyli natura. Tak, jesteśmy uwikłani we wszystkie nasze drobiazgi, drobne przedmioty i drobne sprawy, gesty, spojrzenia, rozmowy, ten dom, tamtą ulicę, ale te o l o g i e mamy bezkresną. Zresztą, „insza rzecz kazanie, a insza kaznodzieja”, mawiał Montaigne i naprawdę nie wiemy, do kogo miał pretensję, że tak się to wszystko podzieliło.

Bardziej niż naturalistyczno-kowbojska filozofia tej powieści zastanawia mnie powód, dla którego Cela wyruszył na ocean. Aby pokazać świat łaciński i anglosaskiego pogranicza, w którym kłębilo się i kłębi od pierwotnych namiętności? (Na marginesie: są tu też Polacy. Ktoś wspomina „sypialiśmy z Polkami”, ktoś inny przestrzega przed „Polakiem zabijającym od tyłu”. Oczywiście, nikt tu też nie stawia whisky „polskiemu misjonarzowi Willie Kopickiemu, autorowi tomiku wierszy *Kwiaty Kalwaryjskie*”).

Stary Faulkner, między jednym kieliszkiem i drugim, powiedział dziennikarzom, że Hemingway „porusza się zawsze po terenie dobrze sobie znanym. Robi to w sposób zachwycający, ale nie dąży do osiągnięcia rzeczy niemożliwych”. (Hemingway zmyślał go potem od ostatnich, na co Faulkner odparł ze skruchą: „moja wypowiedź nie była oficjalna... po prostu potrzebowałem 250 dolarów” Hiszpańskiemu nobliście Faulkner nie mógłby zarzucić braku pisarskiej odwagi. Cela zawsze lubił wędrówki po ziemi niczyjej; możemy przyjąć, że był raczej za odważny. Przed wieloma laty, w czasach bardziej purytańskich, odbył do-

słowną i literacką podróż do Alcarri w towarzystwie przystojnej Mulatki, co mocno wszystkich poruszyło...

Przy lekturze powieści Celi najbardziej zdumiewało mnie odczucie, że gdyby rzecz była napisana po polsku, śmiało można by ją zaliczyć do naszej młodej prozy. Już Ortega zauważył, że w Hiszpanii nikt nie widzi bliźniego (w Polsce podobnie). Szuka się tylko potwierdzenia siebie, albo lepiej, tego jacy sami sobie się wydajemy. Cela burzy spokój, który może dać owo potwierdzenie: jesteśmy inni. Literatura to cień w oku. Dlatego lektura, która dawniej była przyjemnością, dziś stała się znojem i obowiązkiem. Powieść, która przez tyle stuleci była (w swych najlepszych przykładach) bliska przypowieści i zbliżała do tajemnicy w sposób nieśmiały, metaforyczny, dzisiaj chce być bezwzględna i wolna od niedomówień: ściga tajemnicę z zawziętością nieludzka. Może dlatego smakuje jak angielski pudding.

Czytałem Celę tak jakbym podsłuchiwał rozmowy rekrutów wracających z urlopu i z jej strzępów składał obraz zdarzeń. Powiedziałbym, że pisarzowi rozsypały się fiszki, gdyby nie to, że Cela pisze spontanicznie (zawsze zwykłym piórem, kalamarzem ma na biurku), nie używa magnetofonu i jest pełen niechęci do wszelkiej pisarskiej metodologii, co sam tak kiedyś wyraził: „Mój pisarski warsztat nie zna żadnej metody. Żeby mieć dziecko, młoda kobieta w pewnych okolicznościach nie musi nic wiedzieć o ginekologii i położnictwie, a przecież ma potem bobasa, że aż miło spojrzeć”. Jakie jest zatem to ostatnie dziecko Celi? Nie wiem.

Rzeczy mają taką wartość, jaką sami im nadajemy. Według niektórych czytanie to także tworzenie: czy nie dlatego coraz mniej czytamy i coraz mniej wierzymy w nowe arcydzieła?

# Groza epoki schyłkowej

PATRICK SÜSKIND, *Pachnidło. Historia pewnego mordercy*. Przełożyła Małgorzata Łukasiewicz, Czytelnik, Warszawa 1990.

Skąd bierze się niesamowitość powieści Patricka Süskinda *Pachnidło*? Przecież nie z faktu, że, jak mówi podtytuł, jest *Historią pewnego mordercy*. Jaka cecha czyni z niej opowieść sensacyjną i fantastyczną zarazem? Czy możliwe, żeby b r a k stał się napędem zbrodni? To wydaje się nawet bardzo prawdopodobne. Dwudziesty wiek uwielbia zajmować się kompensacją i upatruje w niej przyczynę dużej części zła, z jakim się ludzkość boryka. Ale żeby brak własnego, przyrodzonego zapachu i jednocześnie nieprawdopodobna wrażliwość na zapachy otoczenia uczyniły z kogoś potwora, tego jeszcze nie było.

Nadmiar wrażeń wydaje się główną cechą XVIII wieku, którego obraz maluje się w *Pachnidle*. Süskind, wykształcony historycznie, postanowił wykorzystać dość młodą, jak na wiek ludzkości, umiejętność widzenia historii także poza sceną imperiów i dynastii, podbojów i rewolucji. Próbuje rozpoznać rzeczywistość XVIII wieku w jej historii szczegółowej, codziennej, chciałoby się powiedzieć minimalnej. Rozpoznać? Właściwie usiłuje zaskoczyć czytelnika nadmiarem wrażeń z ulicy. Straszliwe uderzenie zapachów paryskiej ulicy w dokładnym opisie może zwalić z nóg.

Kto zaczął tę książkę, czyta przeważnie do końca jednym tchem i, nie wiadomo dlaczego, nie zniechęca się tamtym straszliwym węchowym krajobrazem. Jak to zrobione, że opisy uzyskiwania praktyki w rzemiośle perfumierskim służą do zbudowania napięcia? W dodatku opisy te składają się z wymienianych niezliczonych ilości rzeczy z różnych dziedzin życia. Komponowanie pojedynczego zapachu przypomina składanie, z rozłożonego na części świata, niezauważalnej prawie, cząsteczki codzienności. A że ona pachnie raz pięknie, innym razem ohydnie, pozostaje kwestią wyboru, destylacji, umiejętnego zmierzenia. Więc model do składania, mieszania? Właśnie! Takie określenie wyjątkowo pasuje do

*Pachnidła*, do licznych eksperymentów wykonywanych przez bohatera powieści Jana Baptystę Grenouille'a i do sposobu pisania, jakim się Süskind posłużył.

Nigdy się nie odkryje tajemnicy tej powieści, jeżeli składników jej będzie się poszukiwać wyłącznie w życiu czy historii po prostu. Dawno nie zrobiła kariery powieść tak „sztuczna”, tak, z pisarskiego założenia, karmiąca się literaturą i tak bardzo dekadentka. Zlepkiem różnych kawałków nie stała się tylko dzięki talentowi Süskinda.

Grenouille w końcu, odkrywając własny mankament usiłował znaleźć zapachy dla siebie. Wtedy okazało się jak złożony jest zapach samej obecności, zazwyczaj niezauważalny, przezroczysty. Pojedynczy człowiek dysponuje tak samo skomplikowanym zapachem jak cały pejzaż: „Najpierw zrobił sobie zapach niepozorności, zapach kogoś, kto się nie rzuca w oczy, mysioszary strój zapachowy na co dzień, gdzie wprawdzie obecna jeszcze była serowokwaśna woń ludzka, ale uwnętrzała się tylko jak gdyby przez grubą warstwę lnianej i wełnianej odzieży, włożonej na wyschlą skórę starca. Tak pachnąc mógł się swobodnie poruszać wśród ludzi”. Następnie próbował kompozycji coraz trudniejszych. Zgubiła go obłąkańczo silna chęć wzbudzania miłości. Piekielna choroba sieroca, zabiegi, by osiąść i wytworzyć zapach piękna i miłości doprowadzają czeladnika perfumierskiego Grenouille'a do zbrodni.

Nie pierwszy raz spotykamy w literaturze sztucznie tworzone wielkie kompozycje zapachowe. Oto cytat z powieści Jorisa Karla Huysmansa *Na wspanak* (wyd. 1884), w której bohater, diuk Jan Floresas des Essentes, sztucznie wytwarza za pomocą zapachów cały krajobraz: „Pragnąc teraz włóczyć wśród pejzażu pełnego niespodzianek i zmian, rozpoczął frazą donośną, rozległą, która nagle otworzyła wyjście na beżmiar pól [...]. W ową dekorację naszkicowaną kilkoma ogólnymi liniami, którą mrok zamkniętych powiek rozciągał bez granic, bryzgał lekkim deszczem esencji ludzkich i quasi-kocich, woniejących spódnicami, zapowiadających kobietę upudrowaną i uszminowaną, a oto ich lista: *stephanotis, ayapana,*

*opoponax, chypre, champaka, sacrantus* – i przeciwstawił im lilak w ilości znikomej, a dodał go, by sztuczne, tchnące z nich życie makijażu zabarwić naturalną wonią spotniałych śmiechów, uciech rozigranych pod skwarnym słońcem” (przeł. J. Rogoziński).

Süskind i Huysmans zafascynowani są samą kreacją mającą oddziaływać wtórnie na życie, na uczucia. Diuk jest kolekcjonerem i znawcą wielu dziedzin, a egzystencja perfumiarza ogranicza się prawie wyłącznie do wrażeń węchowych. Zarówno jednak jeden jak drugi są wielbicielami sztuczności do tego stopnia, że pozwala im to gardzić realnością. Są dziwnie do siebie podobni i zupełnie różni. Sto lat temu był to arystokrata, kolekcjoner sztuki, który produkował sztuczne wrażenia wyszedłszy ze świata nadmiaru. Teraz to plebejski, pokraczny sierota ze straszliwym poczuciem niedoboru. Obaj wydają się produktem epoki schyłkowej.

Süskind wybrał dla swego bohatera tylko jedną z dziedzin, w jaką zagłębiał się diuk des Essentes. Ale Grenouille jest bardziej konsekwentny i niebezpieczny. Sam staje się ciemnym jądrem rozpadu. Ktokolwiek ma z nim do czynienia, źle kończy – garbarz, u którego terminował, tonie, dom perfumiarza uczącego Grenouille'a zasad perfumiarstwa, i okradającego go z pomysłów, zapada się do Sekwany wraz z przesiętem Pont au Change, gdzie stał. Właściwie nie ma widocznego związku między Grenouille'm a tymi wypadkami. Ale przyjdą inne przerażające wydarzenia. I wtedy jego udział okaże się niewątpliwy.

W powieści Süskinda więcej jest pytań niż odpowiedzi. Nagle, w chwili, gdy nic tego nie zapowiada, bohater chroni się w jaskini, by trwać w utajeniu, prawie nie żyjąc. I równie nagle rusza ponownie w drogę szukać zapachów.

Wydaje się, że jego wyjście do ludzi zostało spowodowane artystyczną, wewnętrzzną potrzebą Süskinda, żeby wykorzystał wzór – rzeczywisty? literacki? filmowy? Po przeżyciu wielu lat w jaskini bohater *Pachnidła* dziwnie się upodobał do tajemniczego Kaspra Hausera, który pojawił się, nie wiadomo skąd, na rynku w Norymberdze w roku 1828, stając się

następnie sensacją XIX wieku. Zajął się nim lord Stanhope, w sposób niezmiernie podobny do opieki, jaką w powieści *Pachnidło* roztoczył nad Grenouille'em markiz de la Taillade-Espinasse. Obu ludzi znikąd badano dokładnie, tyle że Kaspar Hauser wykazał nadwrażliwość nie na zapachy, lecz na najłżejszy dotyk, nawet tylko zbliżenie.

Legendarny Kaspar Hauser stał się postacią XIX wieku bardziej literacką niż gdyby się zrodził w czyjejs wyobraźni. XX wiek wcale się z tym podrzutkiem nie rozstał. Między innymi jego tajemnica posłużyła za temat świetnego filmu Wenera Herzoga.

Być może Patrick Süskind zna historię, ale uwielbia literaturę. A *Pachnidło* manieryczne i literackie, pochłanianie w metrach, samolotach i parkach Europy, stanowi żywe zaprzeczenie poglądu, że w naszej epoce nikogo literatura nie interesuje. Nie tylko o to chyba chodzi. Dzisiejszy czytelnik nie może się oderwać do przerażającego portretu człowieka (każdego?) zależnego od jednego, rozbuchanego zmysłu. Śledzi z zapartym tchem immane, beznamienne opisy zbrodni. To jest dopiero powieść grozy – po przeżyciu wieku XX – destrukcja rozprzestrzeniająca się od jednego, z początku niezauważalnego, centrum. Huysmans przedstawił zaledwie wąską ścieżkę jednego artystycznego dekadenta. Süskind wyciągnął dalekosiężne wnioski z obaw, świadomości ludzkości i literatury.

Małgorzata Łukasiewicz, tłumaczka *Pachnidła* nie mogła w pełnych dziełach Horacego znaleźć przytoczonego przez autora cytatu: „Koziołkiem czuć wtedy chłopca, dziewczyna jak narcyz pachnie, kiedy rozkwita”. Na jej pytanie Süskind odpowiedział zgodnie z prawdą i ze swoją koncepcją literatury, że cytat został przez niego wymyślony. Istnieją tylko historie zmyślone lub opowiedziane według innych zmyślonych historii. Przecież, jak wiadomo, zasób fabuł ludzkości jest ograniczony. Ważne za to jak się opowiada.

I po polsku *Pachnidło* także zostało doskonale opowiedziane, nie utraciło nic z rytmu swych opisów, ani z uroku starych nazw przedmiotów, z codzienności i niezwykłości zarazem. Małgorzata Łukasiewicz należy bowiem do wspaniałej dynastii tłumaczy takich, jak Julian Rogoziński, Krystyna Tarnowska czy Anna M. Linke, którzy nigdy nie dali czytelnikom nic „nie zrobionego” i przysporzyli polszczyźnie arcydzieł. Czyta się całe półki przełożonych przez nich książek – Łukasiewicz ma już na swoim koncie ponad dwadzieścia – i często się o nich zapomina. Może dlatego, że tak świetne przekłady łatwo się czyta. ■

## noty

CZESŁAW DZIEKANOWSKI, *Frutti di mare*, Iskry Warszawa 1990.

O napisanej w 1981 roku powieści Czesława Dziekanowskiego *Frutti di mare* słyszałem już przed laty, że jest rewelacją – od tych, którzy znali ją z maszynopisu. Zwłaszcza lewicująca (wówczas to jeszcze nie była obelga), choć jednocześnie sceptyczna wobec władzy część krytyki uznała relację z gdańskich buntów robotniczych '70 i '80 roku za swoją powieść. Swoją – to znaczy wpisującą rzetelny zapis wydarzeń z najnowszej historii Polski w lewicowy mit klasy robotniczej – mądrą i zarazem potężną.

Mijały lata i *Frutti di mare* nie mogło ukazać się w żadnym z wydawnictw oficjalnych, nie

dotarły również do drugiego obiegu. Powieść Dziekanowskiego pojawiła się dopiero dzisiaj, w odwróconym kontekście politycznym (choć dyskretny znak „A-97” w metryczce książki wskazuje, że jeszcze zdążono ją ocenzurować, bez żadnych zresztą ingerencji). Upływ czasu nie zrobił jej dobrze; czyta się to dziś jako dość oryginalnie pomyślaną i sprawnie napisaną relację o doskonale każdemu znanych wydarzeniach. Tylko tyle. Przypuszczam, że – paradoksalnie – zwinął tu oryginalny zamysł autora: tym, co czyni z jego zapisu literaturę, jest wielogłosowość narracji. Równocześnie ten sam zabieg upodabnia *Frutti di mare* do relacji dziennikarskiej; takich zaś relacji, niekiedy bardzo udanych w czasie, gdy tekst Dziekanowskiego odlegiwał swoje – ukazało się sporo.

Z perspektywy lat trudno więc potwierdzić entuzjastyczne opinie o tej książce. Za to z całą pewnością jej kształt edytorski stanowi kuriozum: jedyny to chyba przypadek, by firma wydawnicza uprawiała wobec własnego produktu antyreklamę. Antyreklamą bowiem są zamieszczone na skrzydełku opinie o książce

pióra dwóch luminarzy „niedawnego okresu”, napisane ciężkim, pronowskim slangiem („Jestem za uratowaniem tej książki” – profesor Bogdan Suchodolski; „co w dojrzałym procesie porozumienia narodowego, opartego na wzajemnym zrozumieniu zwaśnionych stron, odegrać może decydującą rolę” – Wacław Sadkowski). Mimo wszystko książka Dziekanowskiego wydaje się dużo lepsza od jej obrońców.

P.B.

WACŁAW GRUBIŃSKI, *Między młotem a sierpem*, Czytelnik Warszawa 1990.

Wacław Grubiński funkcjonował dotychczas w mojej świadomości jako ktoś, kogo nie należy traktować zbyt poważnie. Jako sprawny rzemieślniczo, salonowy komediopisarz, który przeżył (zm. 1973 r.) własną popularność, odeszłą w przeszłość wraz z salonami II Rzeczypospolitej.

Grubiński wszakże nie tylko w salonach bywał. Znalazłszy się po wybuchu wojny we Lwowie, spędził dwa lata w sowieckich więzie-

niach i lagrach, w tym 84 dni w celi śmierci oczekując na wykonanie wyroku wydanego nań za napisane w latach dwudziestych sztuki o Leninie. Książka *Między młotem a sierpem* zawiera wspomnienia Grubińskiego właśnie z tego okresu. Szokujący kontrast pomiędzy rzeczywistością lagrową a wcześniejszym doświadczeniem egzystencjalnym Grubińskiego mógł go zniszczyć. Tak się jednak nie stało; może ocaliła go właśnie „pańskość” i „salonowość”, pozwalająca mu patrzeć ze stoickim dystansem na „nieludzką ziemię”, każącą nieustannie dziwić się nowemu doświadczeniu. Być może właśnie ta umiejętność dziwienia się pozwoliła mu zachować tożsamość i uchronić godność przed bolszewicką infekcją. Zdaje sobie sprawę, że wobec (spóźnionego) zalewu literatury lagrowej kolejna pozycja z tej serii może budzić odruch zniecierpliwienia. Zapewniam jednak, że jest to ciekawa, momentami wzruszająca relacja. Nie tylko o lagrach. Także – o niemożliwym do usunięcia konflikcie dwóch kultur politycznych, demokratycznej i totalitarnej.

P.B.

# przegląd zagraniczny

## John Updike uśmierca Królika

Jeden z najpopularniejszych bohaterów amerykańskiej prozy, Harry Angstrom – Królik, został skazany na wieczne odpoczywanie przez swego literackiego ojca, Johna Updike'a. Czytelnicy polscy znają Królika z pierwszej, tłumaczonej u nas części tej tetralogii – *Rabbit Run* (*Uciekaj Króliku*) wydanej w Stanach w 1960 roku. Od tamtego czasu Updike napisał jeszcze książki *Rabbit Redux* (1971), *Rabbit is Rich* (1981), a w tym roku ukazała się ostatnia część, *Rabbit at Rest* (Królik odpoczywa), której omówienie znajdujemy w „The Economist” z 19 października 1990.

Choć Harry Angstrom ponosił same porażki – jako mąż, ojciec, kochanek i człowiek interesu – pewne jest, że większość czytelników, zwłaszcza płci męskiej, uśmiercenie go przez Updike'a przyjmie z ogromnym rozczarowaniem. Przyczyna jest prosta: przez ostatnie trzydzieści lat książki o Króliku starały się pointować każde kolejne dekady.

Akcja każdej z nich rozgrywa się w okolicach Brewer, wężła kolejowego gdzieś w Pensylwanii, i każdy tom poświęcony Królikowi mówi więcej o życiu przeciętnego Amerykanina niż tona rozpraw socjologicznych. Szokuje konstatacja o przemianie Ameryki od czasów Eisenhowera, kiedy to czytelnicy po raz pierwszy zapoznali się z młodym Królikiem, świeżym żonkosiem i nieudolnym uwodzicielem. Nerwowi ojcowie przechadzali się wówczas po korytarzach oddziałów położniczych, zgadując, czy będzie syn, czy córka. Szczęśliwe matki oddawały się wychowaniu dzieci. Rozwód był degradacją. Dziadkowie mieszkali wraz z dziećmi i wnukami. Kolorowi znali swoje miejsce. Ameryka była najlepszą częścią kuli ziemskiej, Rosja zaś – najgorszą. Jakże proste.

Dziesięć lat później Królik zredukowany mówił: „Maszyna się przegrzała. Z jednej strony mamy inflację i kryzys rynkowy, z drugiej zamieszki na uniwersytetach i tysiące synów Ameryki zabitych przez gównianych żółtków. Ludzie nie lubią, żeby ich chłopcy ginęli w dżungli. Pewnie im się zawsze nie podobało, ale przyzwyczajono ich do myśli, że to obowiązek.”

Powieść o bogatym Króliku zaczyna się od obrazu kolejek przed stacjami benzynowymi, gdzie benzynę sprzedaje się po 99,9 centów za galon, co w latach osiemdziesiątych było ceną niesłychaną. Królik prowadzi przedstawicielstwo wytwórni Toyoty, bogaci się korzystając z hossy na zagraniczne samochody (z silnikiem maszyny do szycia). Przedtem Królik na tylnej szybie wywieszał flagę amerykańską. Teraz próbuje przekonywać swych klientów, że amerykańskie samochody to złom na śmietnik.

W *Rabbit at Rest*, powieści napisanej, jak trzy poprzednie, w czasie teraźniejszym (i ze wszystkich najdłuższej), Stany jawią się jako kraj przedwcześnie postarzały, tak jak bohater, który ma już po pięćdziesiątce, ale próbuje się zachowywać, jakby miał dziesięć lat mniej. Jego wnuczka (skaut) proponuje, by Królik wziął udział w uroczystym pochodzie na 4 Lipca jako Wuj Sam. Królik ciężko przeżywa tę uroczystość – słońce pali, pot zalewa oczy, głowa boli ścisłana zbyt ciasną obrączką wysokiego kapelusza. Królik uważa, że to skutki dziury ozonowej, słynny efekt cieplarni.

Ale rzecz nie sprowadza się wcale do osobistego i ogólnego upadku. Maszerując Królik spostrzega kilka uśmiechniętych czarnych i orientalnych twarzy. I kiedy jakiś zapiewająco fałszywie intonuje przez skrzeczące głośniki hymn „God bless America”, Harry Angstrom ma łzy w oczach i ogarnia go przekonanie, „sprawiając że serce wali mu coraz mocniej i mocniej, że to wszystko dokola to najszcześniejszy pieprzony kraj, jaki widział ten świat.”

Ta właśnie złożona, porywająca, rewelacyjna dwuznaczność sprawia, że Updike najlepiej opisuje współczesnych mu Amerykanów. Lub, by rzecz ująć precyzyjniej, amerykańskich mężczyzn. Problemy Królika to ich problemy. Tak jak Królik mają kłopot ze znalezieniem swojego miejsca na ziemi, w pracy, w domu, w społeczeń-

stwie. Amerykańskie kobiety i ich trywialne zajęcia zostały w powieściach Updike'a zaledwie naszkicowane. Królik na przykład postrzega kobiety wyłącznie jako obiekty zainteresowania seksualnego – „inteligencja nigdy nie była tą cechą kobiety, która by go specjalnie pociągała” – choć, przyznać trzeba, że z powieści na powieść rola kobiet wzrasta, podczas gdy rola mężczyzn: Królika i jego syna Nelsona, narkomana i pederasty – maleje.

Rodzina Angstromów w kółko ogląda telewizję, choć Królikowi telewizja wcale się nie podoba. Jeszcze w *Króliku zredukowanym* palił marihuanę, kochał się z nastolatką i zapraszał czarnoskórych radykałów politycznych na zebrania do własnego domu. Od dwudziestego roku życia jest właściwie tradycjonalistą w średnim wieku, który skłania się ku poglądom republikańskim. Kocha Nixona i lubi Reagana. Mimo to, w najnowszej książce, widzimy jak przytakuje Berniemu, najmądrzejszemu z przyjaciół z golfowego kółka, kiedy ten mówi, że Amerykanie nie byli przygotowani na inteligentnie wystąpienia Dukakisa. „Bush – mówi Bernie – zagadywał do nas, jakbyśmy byli bandą kretynów, a myśmy to wszystko kupowali.”

Był więc Królik skończoną lajzą i będzie go Amerykanom brakowało, jako komentarza do kolejnej dekady. Może John Updike da się ubłagać i przywróci mu życie na ogólne żądanie publiczności. Śmierć Królika bowiem, jak wszystko inne, co dotyczy jego życia, jest kwestią niejasną i zagmatwaną. I jako taka otwiera perspektywę reinkarnacji na wzór Łazarza.

Updike jest człowiekiem o dużym poczuciu humoru – widać to na zdjęciu zamieszczonym w „The Economist”. Herbatę pija z kubka i nie trzyma w domu antyków, lecz meble wygodne, z czego można domniemywać, że żyje na luzie. Właśnie tak powinien wyglądać zbawca i wskrzesiciel Królika. Pozostaje mieć nadzieję, że dla żartu będzie skłonny to zrobić.

opracowała Hanna Baltyn

## Oczy francuskie i nakrycia głów

Mój haczyk zarzucony na wieści o nowych, ciekawych książkach francuskich przez wakacyjne miesiące ani drgnął i tym brakiem brania obciążam – choć to może ręka i cierpliwość wędkarza nie te – zwyczajową praktykę wydawnictw: Na lato letnie powieści a solidne (przynajmniej na pozór) – cegły czekają do września. Jakkolwiek bądź, kij ostatnio się nieco ugiał. Po pierwsze za sprawą dwóch książek reklamowanych jako pierwsze biografie wielkości odeszłych w latach osiemdziesiątych w nieśmiertelność. Nieśmiertelność zapewne nieco Kunderowską – jeśli kupujecie „TL” to wiecie, o co chodzi; bo przecież kiedy czytamy, że „Josyane Savigneau tka subtelna nić między namiętnościami a dziełem de Yourcenar” (*Marguerite de Yourcenar, l'invention d'une vie*, Gallimard, s.540, 150FF. O książce tej w 7 numerze „Tygodnika Literackiego” pisał Krzysztof Rutkowski.) to wiemy, który koniec tej nici przyciągnie przede wszystkim uwagę czytelników. Cóż, kto się wstydzi, niech nie czyta. Na okładce znane zdjęcie Małgorzaty – chyba ładne? – w eleganckim futrzanym kołpaczku i w wieku lat nastu. Znane jest jeszcze jej inne zdjęcie: już u schyłku życia, twarz w części zakryta rodzajem zgrzebnej, pątnicznej chusty. Co się działo między tymi dwoma nakryciami, jaka droga prowadziła od nomadzkiej podróży po Europie lat dwudziestych z ojcem (nieudanym pisarzem, który drukował swe elukubracje pod nazwiskiem córki!) do niemal samotniczego istnienia na wyspie Pustynnych Szczytów nie opodał wybrzeży Ameryki? Sama Yourcenar myliła swe biograficzne tropy, a z drugiej strony mnożyła wciąż komentarze – eksplikacje, przedmowy, posłowania – do swych utworów. Savigny, związana z pisarką, jak sama podkreśla, „prywatnie”, ujawnia, że Yourcenar poza dziełem miała jeszcze życie – w książce, jak pisze

## Środkowoeuropejska dwulicowość

Termin „Europa Środkowa”, „środkowoeuropejski” jest trwałe obecny w czeskiej i słowackiej prasie kulturalnej. Interesujące rozważania o sztuce środkowoeuropejskiej po upadku totalitaryzmu zamieścił na łamach „Literárních novin” 30/1990 znany czeski publicysta Karel Steigerwald w artykule zatytułowanym *Dwie twarze w jednej głowie*.

„Sztuka środkowoeuropejska w minionych czterdziestu latach poddana została szczególnemu doświadczeniu. Była nie-miłosiernie zniewolona przez dyktaturę proletariatu, o której w tym samym czasie marzyło wielu idealistów z zachodniej części Europy, uważających ten system za postępowy. Ich środkowoeuropejskie bratnie dusze, owi uduchowieni reformowali komunistów lat sześćdziesiątych dokonywali przez kolejne lata analizy proletariackiej dyktatury, usiłując wstrząsnąć jej rozmaite demokratyzacyjne nawyki w przekonaniu, że dyktatura może – być do granicy dogmatu – trochę demokratyczna.

Ich sukces można porównać do dziewczyny, która zapragnęła być trochę w ciąży. Własne niepowodzenie tłumaczyli brutalnością stalinizmu, jak gdyby stalinizm był tylko niemilym, przypadkowym zjawiskiem, a nie celem dyktatury proletariatu. Uświadomili jednak sobie i innym, że dyktatura ta – później zwana realnym socjalizmem – jest swego rodzaju samoobsługowym totalizmem, który rozkłada się równomiernie na całe społeczeństwo: każdy jest tyranem i ofiarą.

A mimo to sztuka, tak brutalnie potraktowana przez komunizm, nie zniknęła z życia, będąc zarazem jedną z najmocniejszych broni totalitaryzmu.

Trudno się dziwić paradoksowi, że w obaleniu totalitaryzmu brali udział także ci, którzy go tworzyli, oraz ci, którzy wzięli z nim trwały ślub. Kandydaci do hańbiącego tytułu »kolaborant« stawali się bohaterami rewolucji. Niszczyli siebie samych. Ale nie powinno to zaskakiwać nikogo, kto żyje w kraju proletariatu, jest to bowiem zjawisko naturalne. Wszystko w naszym życiu ma dwie twarze w jednej głowie.

Oligarchia komunistyczna, jak zresztą każde rządy nieuków, kochała sztukę, darząc ją jednocześnie głęboką nienawiścią. Traktowała artystów pogardliwie, a zarazem ich podziwiała. Zapelniała nimi więzienia, ale i pałace. Nadawała im bez mała

szlacheckie tytuły, a przy tym kierowała ich książki na przemiał. Artyści zaś, mimo iż szycanowani i więzieni, okazywali swym oprawcom dozą miłości, także po najbardziej dla nich tragicznych przejściach. Już przed drugą wojną Osip Mandelstam napisał: »U nas poezja jest jeszcze w cenie. Z jej powodu odbywają się egzekucje«. Gdy zaś w roku 1969 zszokowany Milan Kundera opowiadał Louisowi Aragonowi, że w Pradze zlikwidowano sześć pism kulturalnych, Aragon odparł: »W Paryżu w tym samym czasie zniknęło ich czterdzieści i nikt tego nawet nie zauważył. Ale o was mówi cały świat«. Aragon bezwiednie ujął istotę zagadnienia: dyktatura dała swej gnębionej i jednocześnie podziwianej sztuce to najważniejsze – znaczenie. Łagier albo wawrzyn laureata, oto są dwie nagrody nadające sens bycia artystą. Dwie twarze jednej głowy: godna potępienia i heroiczna. Jedna twarz wysługuje się dyktaturze, aby ją umocnić (a przy okazji także siebie), druga zaś broni się przed dyktaturą, aby potwierdzić sens swego istnienia.

Powszechnie wiadomo, co oznacza modny dziś slogan powrotu do Europy: chcemy być normalni. Wierzmy, że na tej drodze do normalności pomoże nam sztuka. Lecz niestety my, którzyśmy przeszli przez piekło dyktatury proletariatu, zapadliśmy na dziwną chorobę. Wszyscy mamy dwie twarze w jednej głowie, zaś w jej wnętrzu przerażające doświadczenie – utratę człowieczeństwa.

Chcemy, by świat otworzył się dla nas, lecz nie wiemy, kiedy ozdrowiejemy. Nie wiemy, kiedy przestaniemy mieć dwa oblicza w jednej głowie, kiedy zapomnimy o swoim bólu i strachu. Nie wiemy, kiedy zostaniemy zrozumiani przez świat oraz kiedy sami zrozumiemy to, co przeżyliśmy.

Franz Kafka i Jaroslav Hašek, chociaż obaj mieszkali w tym samym mieście i na pewno spotykali się na ulicy, to jednak nigdy się nie poznali, a przypuszczalnie nawet nie zamienili ze sobą słowa. Być może czasem tylko krzyżowali bezwiednie spojrzenia.

Nasze dwie Europy także przyglądają się sobie nawzajem. Obie widzą nie znaną na razie twarz. Czy połączy je odtąd to, co dotąd dzieli? Dwóch wielkich praskich pisarzy rozdzielił na zawsze ich los – samotność niezrozumianej duszy. Kafka idzie do urzędu, Hašek do knajpy. Także oni mają dwie twarze w jednej głowie. Kafka twarz bólu, ukrywającą donośny śmiech. Ten sam śmiech, którymi Hašek tuszował własny ból.”

opracował Jan Stachowski



# Hrabina wyszła z domu

Właściwie była brzydka, chociaż w rysach miała coś przyciągającego, a gotycko długie palce niepokoiły Balzaka. Nie była nawet specjalnie bogata, więc dlaczego jej salon odgrywał w życiu intelektualnym dziewiętnastowiecznego Paryża tak wielką rolę? Prawdziwy salon, nie warszawski. Z Alfredem de Vigny, Lamartinem, Littré, Michelem, Renanem, Balzakiem i, oczywiście – Chopinem, i jeszcze z tym nieokrzesanym, Bóg raczy wiedzieć z jakiej świata strony, z halsztukiem źle zawiązanym z wielką rozmysłnością, w starannie poplamionym surducie, którego śledziły z pożądliwym zgorzseniem oczy dam... Adam zwykł bywać u hrabiny d'Agoult.

Jej pamiętniki, dziennik intymny i notatki ukazały się



JAN DOBKOWSKI

niedawno w Paryżu w dwóch tomach, nakładem *Mercure de France*, w bardzo ładnym wydaniu, lecz za to w opracowaniu wyjątkowo niestarannym (głupkowate przypisy i zupełnie pomyłony indeks). Winę ponosi Charles F. Dupechez, bo się pod owym niechlujstwem podpisał. Dziennik i wspomnienia hrabiny d'Agoult to niby nic nowego, profesor Pigoń w XVI tomie Wydania Sejmowego Mickiewicza umieścił fragmenty rozmów Adama z hrabiną (nie wszystkie, jak się okazuje), dziewiętnastowieczna edycja pachnąca skórą i kurzem zemiczała się na mnie ostrym kichaniem w hangarze Bibliothèque Nationale, a jednak. Sporo nowych zapisków, przede wszystkim kąśliwe uwagi o życiu salonowym i mocne opisy własnych kryzysów psychicznych, przez ściśnięte gardło, z umiarem,

prawie po męsku (nieprzypadkowo hrabina podpisywała swe dramaty i powieści pseudonimem Daniel Stern).

Była kochanką Liszta i zrobiła skandal. Miała już wtedy dwadzieścia siedem lat, męża i dzieci. Na świat Marie Sophie Catherine de Flavigny przyszła w 1805 r. we Frankfurcie nad Menem. Od 1809 r. mieszkała we Francji w zamku du Mortier niedaleko Tours. W roku 1827 poślubiła z wielką pompą hrabiego Charles Louis Constance d'Agoult i w roku 1832, trochę z nudów, otworzyła swój pierwszy salon. Franza poznała u markiza La Wayer. Była to miłość od pierwszego wejrzenia. Urodziła mu córkę, a później dwóch synów.

W roku 1839 otworzyła kolejny salon, ten najsłynniejszy, który spełniał wszystkie przewidziane dla salonu funkcje: ferował wyroki, upraszczał rzeczy skomplikowane, miesił nowości i talenty w gładką papkę za pomocą lososia z szampanem, windował na literackiej giełdzie, rozdawał przepustki do historii lub chociaż bileciki na kolejny raut. Jacques Vier napisał w roku 1958 rozprawę doktorską na 4000 tysięcy stron zatytułowaną *Hrabina d'Agoult i jej czasy*, która powinna stać się obowiązkową lekturą bywalców kawiarni „Czytelnika”.

Dochodziło do gorszących kłótni z Lisztem, który był histerykiem, a hrabina myślała o samobójstwie. Depresje cisnęły jak czako. W roku 1844 zerwała z Franzem. Zmarła w Paryżu i ubóstwie w roku 1876.

Nie zapominajmy o jej przyjaźni z Armandyną Lucyllą Aurorą Dupin, baronową Dudevant, znaną bardziej pod pseudonimem George Sand, czyli jak mawiał stary złośliwiec Baudelaire – *femme Sand*, widząc oczyma duszy – jednocześnie – położną i wiedźmę, chociaż nie mógł wcale wiedzieć w jakie kwiaty zła stroiła Chopina.

Hrabina d'Agoult przez pewien czas prowadziła salon wspólnie z baronową, a w roku 1837, dręczona przewlekłym spleenem, spędziła długie lato w Nohant. Nad Loarą pisała listy wielbiące Mickiewicza, jego francuszczyznę oraz jedność *Konfederatów barskich*, ale na wszelki wypadek dała manuskrypt do poprawy Alfredowi de Vigny, który do Adama skreślił grzeczny liścik, natomiast hrabinie odpowiedział, że nudzi go poprawianie okropnych barbarzyństw tego dzikiego poety, a kiedy w pałacu bawił niejaki Pierre Martinien Tousez, czyli Bocage, aktorzyzna marnawy, ale wpływowi, hrabina d'Agoult, przy deserze – jak nakazuje zwyczaj – zaczęła mu opowiadać o francuskim dramacie Mickiewicza. Bocage kazał sobie powtórzyć nazwisko, spytał: „Miss qui?” Hrabina dała za wygraną.

Georges Lubin nie dał. Od trzydziestu lat wydaje korespondencję George Sand. Niedawno ukazał się tom XXIV: kwiecień 1874 – maj 1876, 752 strony, 250 franków. George Sand zmarła co prawda 8 czerwca 1876 roku, ale Georges Lubin ma zamiar wydać jeszcze jeden tom jej korespondencji, złożony z listów odnalezionych w ciągu całego trzydziestolecia. Tym sposobem przedsięwzięcie liczące ponad dwadzieścia tysięcy stron byłoby może zamknięte.

Georges Lubin pracował w banku. Poszukiwanie listów George Sand – to rodzaj hobby. Na początku lat sześćdziesiątych Lubin podpisał z wydawnictwem Garnier umowę na dwadzieścia cztery, nawet dwadzieścia pięć tomów. Pierwszy opracował w roku 1964 i przeszedł na emeryturę, żeby zabrać się za kolejne. Tomy wychodziły z monotonną regularnością aż do 1973, kiedy Garnier stanął na pograniczu bankructwa. Lubin wszczął kampanię protestacyjną w „Le Monde”, w kraju (czytaj: we Francji) i za granicą (czytaj: w Szwajcarii) i oburzona do głębi opinia publiczna spowodowała, że kolejne tomska niekały wydawcę. Wreszcie w roku 1976 Garnier ostatecznie poszedł z torbami i Bordas przejął jarzmo. Ale to jeszcze nic: w Grenoble powstało osobne wydawnictwo: *Les Editions de l'Aurore*, które postanowiło wydać wszystkie powieści George Sand. Ukazać się ma sto dziewięć tomów, do tej pory przyszło na świat szczęśliwie już dwadzieścia pięć.

Trzeba by sprawdzić rachunek, ale zdaje się, że George Sand pisała bez przerwy. Skąd zatem brała czas na przejażdżki konne z hrabiną d'Agoult, wczesnym rankiem gdy opadały mgły nad Loarą i słychać było od strony Montresor pierwsze dźwięki fujarek płowowłosych gęsiarków w łnianych koszulach i z usmarkanymi nosami, boć to przecież teren nasz, narodowy, o słabującym pianie. Liszt poglądził dłonią wiko fortepianu, a wtedy „gwiazd ostatnich spojrzenia blade zagasty, ale widoczne były jeszcze, gdzie nie przykrył je obłok, długi, szary, bardzo na niebiosach obwisnięty, jako dzikiego gołębia bywają skrzydła. Służący jeden przeszedł wolno koło mnie, niosąc świecznik z zagazonem świecami, a niektóre złamane były”.

Zupełnie nie rozumiem, dlaczego nasza neokapitalistyczna kinematografia, pragnąca żarliwie wejść do Europy, nie zainteresuje się filmem o losach hrabiny i baronowej. Sukces murowany – superprodukcja w stylu *Przemięło z wiatrem*. Rolę George Sand mógłby zagrać Woytek Pszoniak.

Paryż, 27 X 90

Krzysztof Rutkowski

TYGODNIK  
LITERACKI 17

recenzent, „poważnej i pięknej”. W zeszłym tygodniu drugie miejsce na liście bestsellerów niebeletrystycznych.

„Siedzi na podłodze, lekko odginając nagi tors i opierając się na rękach. Ubrany jedynie w rodzaj sukienki z listowia; niczym dzikus u kostek nóg ma ciężkie bransolety; słucha w bezruchu Foucaulta, który w tym samym stroju peroruje pod uważnym spojrzeniem Lacana, podczas gdy Levi-Strauss czyta beznamiętnie jakąś kartkę” – oto jak w latach sześćdziesiątych opisywała Barthesa „La Quinzaine littéraire”. Louis Calvet podejmuje ten intymny opis czwartego Muszkietera, poświęcając mu okazałą książkę *Roland Barthes*, (Flammarion, s.380, 140FF) – swoją drugą o Barthesie: pierwsza, wydana niemal dwadzieścia lat temu była rozprawą naukową. Tym razem refleksja nad dziełem schodzi na odległy plan, a na pierwszym mamy życie, samo życie. Zapewne wiele fascynujących i nieznanych szczegółów dla tych, którzy Barthesa kochają jak siebie samych, a takich nie brakuje. Chociażby nigdy nie dopowiedziane okoliczności śmierci, której nie tłumaczą rany odniesione w wypadku samochodowym owego lutowego dnia '80, naprzeciwko budynku Collège de France: nie były one na tyle poważne. Ale obok faktów, także biografia drugiego stopnia, to co sam Barthes nazywał „biografemami”: miejscami, w których życie, jak pisał, „siebie stylizuje, siebie oznacza”. A więc choćby sposób palenia papierosów, sposób jedzenia, wygląd miejsc pracy w paryskim mieszkaniu i w baskijskiej rezydencji. Zaś ponad tym wszystkim jeden stały motyw książki: nuda, owa straszliwa egzystencjalna nuda, która, według Calveta, miała być jedyną prawdziwą namiętnością Barthesa. Książka przyjęta niezbyt entuzjastycznie: wśród różnych pretensji głównie zarzut o płaską chwilami psychologię, a także o niesprawiedliwą ocenę politycznych wyborów (czy raczej „politycznej obojętności”) Barthesa.

Notkę o innej jeszcze książce zacznę od zyczenia. Chciałbym mianowicie zobaczyć polskiego wydawcę, który wydawał latami (to znaczy jedną książkę przez kilka lat) naszych największych współczesnych i ma jeszcze do tego dobre wspomnienia. Maurice Nadeau wydawał również latami (to znaczy ileśset książek w pół wieku), a teraz opublikował swoje wspomnienia literackie (Albin Michel, 480 s., 140FF), opatrzone tytułem *Grâces leur soient rendues* – w szybkim tłumaczeniu: „Oddając im należną część”. I rzeczywiście jest się komu kłaniać, gdyż Nadeau – jeden z najbardziej liczących się i najstarszych (89 lat) wydawców francuskich, a także redaktor naczelny „La Quinzaine Littéraire” – puścił w Paryż takie choćby pióra jak Henry Miller, Malcolm Lowry, Leonardo Sciascia, Roland Barthes, Georges Perec, Bruno Schulz, Witold Gombrowicz. Bil się Nadeau o publikacje takich twórców jak Artaud – o literaturę spychaną na pobocze, krępowaną, „przeklełą”, a swe sympatie tłumaczył tak: „Lubię pisarzy, których porywa szaleństwo, tych, którzy umierają przy pracy; rewolucjonistów, których się zabija; jak świętych czczą tych, którzy unoszą nad głowę, na wyciągniętej dłoni książkę, mającą ich zbawić”. Przed wojną surrealistą i trockista, obecnie trockista w wymiarze, by tak rzec, egzystencjalnym: Artaudowskiego istnienia- płomienia, istnienia-dżumy: „Obraz, jaki widzę, myśląc o Trockim? Nie jest to obraz kompaniona Lenina, wspólnie z nim studiującego. Agent NKWD, który rozwała mu głowę, wiecznie, po wielekroć – niczym na filmie z początków kina – powtarza swój gest. I wciąż trwa krzyk zdumienia i bólu mordowanego”. Nadeau jest nie tylko wydawcą, okazuje się pisarzem, a jego książka staje się od tej chwili niezbędna dla historyka ostatniego półwiecza życia literackiego i artystycznego we Francji.

O pamiętnikach literackich Nadeau była we wrześniu mowa w „Charakterach”, nowym wydarzeniu w telewizji francuskiej, pomyslanym jako kontynuacja najsłynniejszego chyba literackiego programu na świecie: „Apostrofów” Bernarda Pivot (nadawana będzie również w piątek wieczorem, w porze absolutnie największej oglądalności). Znowu uszczypnę wydawców, tym razem francuskich, przypominając jak wielkim szokiem była dla nich decyzja Pivot o zamknięciu „Apostrofów”: bo oto nagle zniknęła najlepsza i darmowa reklama, na jaką kiedykolwiek mogli liczyć. Działo się tak, że w piątek wieczorem Pivot konwersował na żywo z autorami świeżo wydanych książek, a nazajutrz księgarze wstawiali je w specjalne gablotki z napisem „Wczoraj w »Apostrofach«”. Wystarczyło mieć, mówiąc po naszymu, zdjęcie z Pivotem, aby być pewnym, że nakład naszego dzieła szybko się rozejdzie (zaś jeśli pisarzem się nie było, istniał tylko jeden sposób na rozmowę: wygrać międzynarodowy konkurs dyktanda francuskiego, którego był patronem. Dyktando wymyślał sam. Nagrodą, poza pobytem w Paryżu, był obiad z Pivotem! Nie wygrałem, nie jadłem, ale mogę podać menu: gaspacho de thon aux artichauts grillés, bar au fenouil tomate, poularde de Bresse au vin jaune et aux morilles, gratin de figues à la crème d'amandes – przetłumaczcie sobie sami, bo ja nie umiem. Pivot, wielka gwiazda, przed której mikrofonem, podobnie jak przed biurkiem Maurice'a Nadeau, pojawiali się i autorzy jednego dzieła, i wiele literatury, filozofii, nauki (jego wizyta w warszawskim Instytucie Francuskim, tuż po stanie wojennym, zgromadziła niebyswały tłum; wieść głosiła, że zjawił się w Polsce, by przeprowadzić rozmowę z pewnym pisarzem w Gdańsku, o ile pamiętam, nic z tego nie wyszło), uderzał swoją archetypową francuskością. Ciemny, dynamiczny, ekspresywny, przerosł formy nad treścią, no i do tego, ponad małutkimi oprawkami na czubku nosa, te oczy: pytające, badające, otwarte ze zdziwienia, zmrużone z satysfakcji, wytrzeszczone z podziwu, wypadające z orbit i w nie wracające; oczy dające wzór i ochotę czytania oczom telewidzów. Następca Pivot, Bernard Rapp, wygląda na zdjęciu na nordyka; blondyn, typ cherubina ze stażem, spojrzenie intensywne, ale wyciszone, namiętności ukryte, lecz identyczne okulary, jakie nosił Wielki Bernard – w kształcie półksiężyca, łatwe do zsuwania na nos.

opracował Marek Bieńczyk



# listy

Szanowny Panie Redaktorze!

W 14-15 numerze czasopisma „Brulion” ukazał się fragment nikczemnego tekstu L.F. Céline'a „Bagatelles pour un massacre”. Ja wiem też wszyscy to wiedzą, że Céline był świetnym pisarzem. Ale wiem też, i wszyscy to wiedzą, że Céline był podłym antysemitą. Drukowanie, i to bez żadnego komentarza, antysemitckiego tekstu Céline'a – dziś, tutaj,

w Polsce, kiedy na murach ukazują się antysemityczne hasła – uważam za rzecz niedopuszczalną i godną potępienia. Przyjmuję, z najlepszą wolą, że redaktorzy „Brulionu” nie są antysemitami. Jeśli, drukując idiotyczny Céline'a, uważają, że zapewnią w ten sposób swemu piśmie poczytność, to chcą im powiedzieć, że jest to sposób wstrętny. Drukowałem kilkakrotnie w „Brulionie”. Jego redaktorzy powinni się teraz zastanowić nad tym, czyje teksty chcą publikować w swoim piśmie. Co do mnie, to nie widzę powodu, dla którego miałbym drukować moje wiersze w bliskim sąsiedztwie antysemitycznych bredni.

Będę wdzięczny za opublikowanie tego listu i łączę wyrazy głębokiego szacunku

**Jarosław Marek Rymkiewicz**  
Warszawa, 29 października 1990 r.

**ZNAK** MIESIĘCZNIK katolicki  
Ukazuje się od 1945 roku jako niezależne pismo polskiej inteligencji katolickiej

Pismo zapewnia równocześnie

- ▶ gruntowne przedstawienie najważniejszych aktualnych problemów w postaci numerów tematycznych
- ▶ bieżące informacje: życie Kościoła, książki, wydarzenia kulturalne
- ▶ refleksje dotyczące życia duchowego i modlitwy

## Drogi Czytelniku

Jeśli w twojej okolicy nie ma kioskarni, w której mógłbyś nabyć miesięcznik ZNAK, skorzystaj z najdogodniejszej formy otrzymywania pisma: z indywidualnej prenumeraty.

### PRENUMERATA KRAJOWA

Koszt prenumeraty w pierwszym kwartale 1991 roku wynosi 18 000 zł. Kwoty wpłacone na prenumeratę półroczną i roczną traktujemy zaliczkowo. W przypadku zmiany ceny obowiązuje dopłata do danego kwartału.

Wpłaty przyjmuje Administracja miesięcznika ZNAK, 30-105 Kraków, ul. Kościuszki 37, konto PKO I OM/Kraków nr 35510-25058-136

### PRENUMERATA ZAGRANICZNA

Cena 1 egz. wynosi 3 USD, prenumerata roczna 36 USD. Dopłata roczna z wysyłką pocztą lotniczą: Europa 6 USD, Ameryka 12 USD, Australia 18 USD.

Konto dewizowe: SIW ZNAK Sp. z o.o. Bank PKO SA O/Kraków nr 5.35078-7000339-157-212-7870.

## brulion kw

laureat nagrody

Stowarzyszenia Dziennikarzy  
Polskich 1990

ukazujący się w podziemiu od 1987 roku

W piśmie publikowali m.in.: Błoński, Kosiński, Międzyrzecki, Rymkiewicz, Szczepański, Woroszyński. Ponadto tłumaczenia: Bataille, Brodzki, Dostojewski, Hrabal, Kundera, Nabokov, Solżenicyn, Vonnegut.

W numerze najnowszym: Blake, Céline, Lem, Seifert, Zagajewski oraz

**POLSKA I EUROPEJSKA KULTURA  
ALTERNATYWNA**

### PRENUMERATA ROCZNA:

Prenumeratę przyjmujemy na cztery kolejne numery *brulionu*. Wysokość prenumeraty 32 tys. Wpłaty prosimy dokonywać na konto: **PBK III Oddz. Warszawa 370015-971241-136**, z dopiskiem: Camelot – spółka z o.o. prenumerata *brulionu*. Wszelkie sprawy związane z prenumeratą wyjaśnia: Camelot – Warszawa u. Rakowiecka 4, tel. 48-38-09. Serdecznie pozdrawiamy. Zapraszamy do współpracy. Nasz adres: *brulion kw*, Kraków 61, skr. poczt. 325.

## „Znak-Idee” to nowa seria filozoficzna wydawana przez redakcję miesięcznika „Znak”

Dotychczas w serii ukazały się następujące zeszyty:

- 1 Edyta Stein albo filozofia i krzyż
- 2 Język i metafizyka
- Dziś i jutro filozofii polskiej
- 3 Henryk Elzenberg i mistyka

Przygotowywane do druku są zeszyty poświęcone następującym zagadnieniom:

- Myśląc o filozofii
- Bóg i przyroda w filozofii procesu
- Filozofia wolnego rynku
- Mind-body problem
- Granice obiektywizmu
- Mistyczne pisma Leibniza

Zachęcamy autorów do nadsyłania tekstów wiążących się z planowanymi tematami.

Adres redakcji:



Miesięcznik „Znak”  
ul. Kościuszki 37  
30-105 Kraków



tel. 21-89-20



fax 21-98-14

## Szanowni Państwo!

najstarsze, niezależne katolickie pismo społeczno-kulturalne

## TYGODNIK POWSZECHNY

do nabycia w najdogodniejszej formie prenumeraty na I kwartał 1991 roku. Cena prenumeraty prowadzonej przez administrację „TP” obejmująca także koszt wysyłki pocztowej wynosi w I kwartale 1991 roku – 32 500 zł.

Zaprenumerowany w ten sposób „Tygodnik” otrzymacie Państwo bezpośrednio do domu.

Wpłaty prosimy dokonywać na blankietach PKO na adres: „Tygodnik Powszechny” 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, konto 35510-24572-136. Termin wpłat upływa 20 listopada 1990 roku.

Niezależnie od prenumeraty z wysyłką pocztową prowadzonej przez administrację „TP”, „Tygodnik” zaprenumerować można za pośrednictwem RSW „Prasa-Książka-Ruch”.

Cena zamówionej w „Ruchu” prenumeraty z odbiorem w kioskach lub innych punktach kolportażu „Ruchu” wynosi w I kwartale 1991 roku – 23 400 zł. Wpłaty przyjmowane są przez terenowe oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch” na podstawie realizowanych na poczcie przekazów pieniężnych na blankietach wpłaty. W miejscowościach, gdzie nie ma takich oddziałów, wpłaty dokonać można w urzędach pocztowych lub u doręczycieli.

„Tygodnik Powszechny” można także zaprenumerować dla odbiorców zagranicznych. Wpłaty na prenumeratę zagraniczną przyjmowane są na adres „Tygodnika Powszechnego” 31-007 Kraków, ul. Wiślna 12, konto: Bank PKO S.A. O/Kraków nr 5.35078-7000339-136-11-1110. Cena 1 „Tygodnika” wynosi 1 USD. Cena ta obejmuje wysyłkę pocztową zwykłą. Dopłata za wysyłkę pocztą lotniczą wynosi: Europa – 12; Ameryka, Afryka, Azja – 24 USD; Australia i Oceania – 36 USD. Prenumeratę można rozpocząć od dowolnego miesiąca roku.

## TYGODNIK LITERACKI

niezależne pismo poświęcone sprawom kultury

AREOPAG: Jan Błoński, Gustaw Herling-Grudziński, Artur Międzyrzecki, Ryszard Przybylski, Jan Józef Szczepański.  
ZESPÓŁ: Marta Bratkowska, Waldemar Cholewicki, Melania Dzieduszycka, Waldemar Gasper (zastępca redaktora naczelnego), Rafał Grupiński, Dorota Jarecka, Rajmund Kalicki, Marek Karpiński, Tadeusz Komendant, Jacek Królak, Tomasz Królak (sekretarz redakcji), Jacek Łukasiewicz, Janusz Maciejewski (redaktor naczelny), Łukasz Małachowski (sekretarz redakcji), Piotr Matywiecki, Grzegorz Musiał, Agnieszka Piwowarska, Paweł Rodak, Iwona Smółka (zastępca redaktora naczelnego), Piotr Szumner, Jan Stachowski, Marian Stala, Robert Tekieli (zastępca redaktora naczelnego), Wojciech Tomczyk, Małgorzata Wierzbicka, Wanda Zwinogrodzka.  
WSPÓŁPRACOWNICY: Marcin Baran, Bogumiła Berdychowska, Marek Bieńczyk, Grzegorz Filip, Tomasz Jastrun, Krzysztof Koehler, Marta Makowiecka, Piotr Mitzner, Tadeusz Nyczek, Agnieszka Pawłowska, Małgorzata Kruszewska, Jacek Rujna, Krzysztof Rutkowski, Konrad Tatarowski.  
Przegląd Archeologiczny i Metafizyki Społecznej „Śmigło” redaguje Zbigniew Sajnóg.  
Redaktor graficzny: Donat Chruściński. Korekta: Krystyna Okoniewska, Wojciech Sempka.  
Wydawca: FUNDACJA NA RZECZ WYDAWANIA TYGODNIKA LITERACKIEGO.  
Skład: „Printext”, Warszawa, ul. Kutnowska 10. Druk ZG „Dom Słowa Polskiego” Warszawa.  
Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.  
Adres redakcji: 00-538 Warszawa, ul. Wilcza 1/21, tel. 21-12-79

# Podróż jest jak wygnanie

Na początku była podróż, ale głównym podejrzanym okazał się czas, dzięki czemu pamięć może nas uczyć jak dobrze użytkować rzeczy nietrwałe. Każdy nosi w swojej pamięci miejsca i chwile, jakąś uliczkę, jakąś bramę i taki moment z dzieciństwa, gdy jakiś tramwaj z głośnym skwierczeniem skręca za pobliskim rogami. Lwów jest sprawą metafizyki. Można po nim poruszać się jak po tekście *Pana Tadeusza* – poszczególne dzielnice przypominają oddzielne księgi. Melancholia tego miasta działa na zmysły, bo Lwów to trochę Wiednia, szczypta Pragi i odrobina Budapesztu, gdzie łatwiej uwierzyć, że podróż jest jak wygnanie. „Kiedy jestem w drodze, zdaje się, że również Bóg przebywa poza domem” – powiedział w dziewiętnastym wieku pewien chasyd, wędrujący po Czarnohorze, który nie lubił zbyt długo przebywać w tym samym miejscu. W osiemnastym roku życia wiedział czego dokona. Ze starców siedzących na ławce w Parku Stryjskim wyciekają wspomnienia, sączą się z nich wolno każdego dnia. Jest w tym przywiązaniu pamięć o sponiewieranej

przeszłości, potrącana w przejściach podziemnych i poszturchiwana w kolejkach.

Pałace dzieciństwa zbyt szybko ulegają zapomnieniu. Dorośli wybiegamy na dziedzińce jak uczniowie na szkolną przerwę a potem wywożą nas pociągami. To miasto należy odczuwać tak, jak na to zasługuje. Kto zna jego barwy i wonie, wie jak powstają obsesje. Właśnie na Kresach kultura staropolska odkryła wartości podróży i mistykę wielkich przestrzeni. W tamtych czasach Rzeczpospolita rozpościerała wojska ciasnym łańcuchem stanic opatrzonych bitnym żołnierzem. Lecz kultura polska rozsyłając ludzi po Kresach jakby sama została osierocona. W takich miejscach naznaczonych metafizyką przyszłość jest już przeszłością, zaś teraźniejszość posiada smak oczekiwania. Czasami ma się wrażenie, że historia dba o geograficzny dobór miejsc, gdzie rozgrywają się wypadki, bo każde zdarzenie wymaga odpowiedniej scenografii. Wyjeżdżając ze Lwowa, człowiek czuje się jakby coś utracił.

Włodzimierz Paźniewski



ANNA MARIA BAUER

## Symboliczny symptom

Czas jest polityczny, a ja od lat siedzę z daleka i właściwie biorę w tym wszystkim udział z dużym poczuciem dystansu. Bo w końcu myślę sobie, przetrzymaliśmy wiele zła, zakrętów, wydarzeń, nawet – jak mówią – rewolucji, przetrzymamy więc i to, co się dzisiaj dzieje. Przypadki polityczne przemijają, kultura zostaje. Nic nie ruszy, myślałem, tego co naprawdę wielkie, co sprawdzone przez pokolenia, co kształtuje naszą tożsamość. Nic nie ruszy na przykład *Odprawy posłów greckich* Jana Kochanowskiego.

Okazało się, że czasu politycznego nie doceniam. Okazało się, jak głoszą znajomi nauczyciele, że można ruszyć *Odprawą posłów greckich*, która właśnie wyleciała z programów szkolnych. Okazało się, że można wyrzucić z tychże programów poezję Mieczysława Jastruna, by w jej miejsce wprowadzić wiersze jego syna Tomasza.

Nic nie mam przeciw wierszom Tomasza Jastruna, wydaje się jednak, że wprowadzono je do programów szkolnych zbyt wcześnie. A przede wszystkim wyda-

je mi się, że nie wolno było tego czynić tak, jak to zostało zrobione – usuwając wiersze jego ojca, poety o ugruntowanym i chyba niepodważalnym dorobku.

Ta sprawa ma wymiar i symboliczny, i symptomatyczny. Jest mianowicie znakiem strasznej zupełnie sytuacji, jaką od pewnego czasu z mojego oddalenia obserwuję w polskiej kulturze literackiej. Jej dramat polega na spłaszczaniu pola widzenia, na stawianiu na doraźność. Stare przegrywa z nowym, zaś proces ten, to proces wypłukiwania złóż kulturowej pa-

## Szatańska alternatywa

Sądząc po ilości publikacji podziemnych dotyczących filozofii politycznej i historii myśli społecznej, problematyka ta była w ostatnich latach jedną z ulubionych polskiej inteligencji. Niestety każda moda przemija i niewiele po niej zostaje. Skoro nie tak dawno temu problemy peerelu skłonni byliśmy rozstrzygać językiem Berlina i Arendt, to dziś, gdy na rynku księgarskim niepodzielnie zapanował Ludlum i MacLean, na realia polityczne Najjaśniejszej Rzeczypospolitej zaczęliśmy patrzeć przez okulary powieści szpiegowskiej. I chyba słusznie, bo sytuacja temu sprzyja, zwłaszcza przed 25 listopada.

Oto w szranki stanęli dwaj najbardziej bezwzględni w zwalczaniu zła przeciwnicy. Obaj nie są już pierwszej młodości. Tajny agent Wałęsa sprawia wrażenie jakby już za czasów Wietnamu i Kambodży więcej czasu spędzał w sztabie niż na tyłach Viet-Kongu. Dziś powinien grzać stare kości przy kominku w otoczeniu liczego potomstwa, czasem tylko wyrwywając się z domu, by pomoczyć wędkę u wybrzeży Florydy. Dopiero szerzące się wokół bezprawie i bezradność jego najlepszych żołnierzy, którzy zastąpili go na stanowiskach dowódczych, karze mu zdjąć ze ściany starą nieużywaną od lat strzelbę i przypomnieć sobie dawne westernowe czasy. Mazowiecki to typ raczej chandlerowski: zmęczony życiem, wymięty, samotny. Superagent Wałęsa wygra, bo musi, detektyw Mazowiecki zwycięży, by ocalić świat, ale zawsze będzie to dla niego osobistą klęską.

Sztaba wyborcze raz odkrywają karty i wylewają na przeciwnika potok uroczych kalumni, raz moderują wypowiedzi, jakby spokój w głosie polityków miał zagłuszyć huk silników bombowców, które szykują się do chirurgicznie precyzyjnego ataku na zaplecze przeciwnika. I oczywiście mało ważne jest w gruncie rzeczy to, o co toczy się bój – jak w każdej dobrej powieści sensacyjnej od początku ustalona została właściwa hierarchia celów: rozstrzygają się losy świata, więc ważny jest tylko nasz bohater, bo tylko on zna wyjście z beznadziejnej sytuacji.

I pytania, o co w tym wszystkim chodzi, rzeczywiście nie wypadają chyba zadawać. Premier, jak wiadomo, swój program ma, nie musi go więc ujawniać. Wałęsa co prawda z początku obiecywał, że postąpi inaczej, jednak – jak to mu się

czasami zdarza – zmienił zdanie i uznał, że program nie jest prezydentowi potrzebny. Przy tym obaj mają zupełną słuszność, bo nasz wybitny system polityczny jest tak skonstruowany, że rządzić będzie i tak rząd, a nie głowa państwa. Kandydat może więc każdemu obiecać złotą wannę z wodotryskiem, a wykonanie pozostanie zadaniem premiera.

Wbrew niektórym nie chodzi tutaj także o kształt systemu politycznego. Jego los został – przynajmniej na jakiś czas – przesądzony, kiedy to zwolennicy systemu parlamentarnego zrzeszeni w partii „Bez Awantur” postanowili na złość Wałęsie odmrozić sobie uszy i pozbawić zgromadzenie narodowe prawa wyboru prezydenta. Szef państwa wybrany w głosowaniu powszechnym może nawet bardzo nie lubić ustroju prezydenckiego, wszelako nie może zniknąć ze sceny tak, jak zrobił Jaruzelski. W szczególności trudno byłoby to zrobić prezydentowi, który przez szereg miesięcy będzie jedyną osobą w państwie obdarzoną mandatem z wyborów wolnych, a nie kontraktowych.

Teorie państwa i prawa wskazują dwa możliwe źródła prawomocności władzy i systemu politycznego. Jedne, które można określić mianem bardziej lewicowych, podkreślają, że władza pochodzi przede wszystkim od ludu i jego przedstawicieli. Drugie, dające początek myśleniu konserwatywnemu, dążą przede wszystkim do ustanowienia rządów prawa, a wyborców dopuszczają do głosu dopiero gdy ustalone są już zasady podstawowe, gdy zrównoważona jest siła poszczególnych instytucji i zapewniona ochrona wywiezionych z natury wartości naczelnych. Nasz kraj nie podporządkował się żadnemu z tych schematów. Nasi konstytucjonalisci na razie schowali się w jakimś zamaskowanym bunkrze atomowym i operację pod kryptonimem „3 maja” przygotowują w tajemnicy jakby to miało być lądowanie w Normandii. System polityczny zaś, na przekór wszystkim teoriom kształtuje tymczasem życie. Natomiast lud, aby nikt nie narzekał, że jest nudno, podejmuje historyczną decyzję co będzie się piło w Bełwederze: francuskie wino, gorzałkę czy też może alpaki.

Wybór jest trudny, zwłaszcza, że sytuacja zmienia się bezustannie. Myliliby się ktoś, kto by sądził, że w tej walce wszystkie karty zostały już odkryte. Ja stawiam, że asem w tej rozgrywce okaże się pozostający do tej pory w cieniu Alfred Miodowicz. On nie powiedział jeszcze swego ostatniego zdania i swojego śmiertelnego poparcia udzieli dopiero w scenie kulminacyjnej.

Adam Mielczarek

dzia w rozpoznawaniu czasu tylko politycznego. Poświadczają to zmiany w programach szkolnych, poświadczą także współczesna publicystyka literacka.

Wypowiedź publicystyczna wypiera esej, ale wypiera też i recenzję, rzeczową analizę utworu. Przykładem tego przeoczenie przez krytykę i wydawnictwa krajowe jednej z najważniejszych książek o poezji współczesnej, która ukazała się przed kilku laty w Instytucie Literackim w Paryżu. Książką tą są *Szkice o poezji* Jana Józefa Lipskiego. Charakterystyczne – wydawnictwa krajowe, głównie drugiego obiegu, przedrukowały skrzętnie wszystkie książki krytycznoliterackie wydane na wychodźstwie, lecz dla tej miejsce się nie znalazło. Czy dlatego, że jest po prostu poważna książka o poezji, książka pomijająca sprawy polityczne, książka odrzucająca publicystyczne uproszczenia?

Nie mnie odpowiadać na takie pytania. Moją rzeczą jest ich stawianie. Obserwowanie tego, co się w Polsce dzieje z pewnego oddalenia, z dystansem, który pozwala wziąć w nawias prawa czasu politycznego, które napawają mnie lękiem o los kultury.

Leszek Szaruga

### RADIO SOLIDARNOŚĆ UKF 73,2 MHz

- stacja warszawska
- program 24 godziny na dobę
- telefon do studia: 635-88-88

- Biuro Reklamy i Ogłoszeń: ul. Konwiktorska 7, 00-216 Warszawa telefon: 635-80-36, 635-92-93